Nr. 42 (1242). Warszawa, 2 (15) Października 1904 r. Rok XXIV.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Prenumerata „Prawdy"
(wraz z bezpłatnym dodatkiem)

w Warszawie: miesięcznie kop. **70**, kwartalnie rb. 2, rocznie rb. **8**, z odnoszeniem do domu.

z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rb. 2 kop. **50**, rocznie rb. 10.

Za zmianę adresu dopłaca się 20 kop.

Adres: Sadowa Nr. 14.

Redaktor przyjmuje interesantów we wtorki i czwartki od godz. 4 do 5 popołudniu.

Rękopisów nie odsyła się. Autorowie prac nieprzyjętych mogą je odebrać, w przeciągu sześciu miesięcy, osobiście w Redakcyi lub za pośrednictwem poczty, po nadesłaniu kosztów przesyłki. Rękopisy drobne nie zwracają się.

Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy oraz** wszystkie księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.

Sprzedaż pojedynczych numerów po kop. **20** w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych, od godz. 10 do 5.

POLITYKA.

Telegram wrześniowy.

Małem jest księztewko Lippe, nie ma nawet czterdziestu mil kwadratowych, ale prawo nawet najmniejszego zawsze jest wielkiem, a właśnie prawu księstewka stała się teraz krzywda, dzięki której przypomniała sobie dopiero Europa istnienie tego maleństwa, samo zaś źródło krzywdy wzbudziło powszechne zajęcie. Dnia 25 września zmarł regent księstwa, hrabia Ernest Lippe Biesterfeld. Zaraz nazajutrz cesarz Wilhelm wystosował do jego syna, Leopolda, telegram ze współubolewaniem— osobliwszego rodzaju, zawiadomił go bowiem, że nie pozwoli wojsku, pruskiemu wojsku, które na mocy konwencyi militarnej stoi garnizonem w stolicy kraiku, Detmold, złożyć przysięgi, dopóki rada związkowa nie rozstrzygnie sprawy spornej w sposób wyjaśniający prawa hrabiów Biesterfeldów do księstewka. Spór w radzie toczy się o prawowitość rodową, skażoną przez małżeństwo morganatyczne aż dwu przodków. Nie to skażenie jednak było sprężyną wszczynającą proces. Cesarz zapewne kocha czystość rodową tej arystokracyi, która umiała wyposażyć się w trony, ale silniej niż ten idealny interes pragnie ubić inny: chce szwagra swego, hr. Schaumburg-Lippe osadzić na regencyi.

Szwagier regentował już raz w Lippe, po zgonie rzeczywiście panującego księcia Waldemara w r. 1895. Książę ten umierał bezdzietnie, a brat jego, Aleksander, był umysłowo chorym. Po śmierci zjawił się hr. Schaumburg z jakimś testamentem nieboszczyka, którego nikomu w oryginale pokazać nie chciał, a którego mocy sejm księstwa nie uznawał, ulegając wszakże gwałtowi, do czasu rozstrzygnięcia sporu musiał go cierpieć w Detmoldzie. Trwało to prawie dwa lata wśród ciągłego darcia się i niepokoju. Wreszcie w r. 1897 król saski, wezwany na superarbitra, rozstrzygnął sprawę na rzecz Biesterfelda, owego właśnie Ernesta; Schaumburg musiał ustąpić. Cesarz Wilhelm zemścił się za przegraną rozkazem do wojska, aby nietylko nie przysięgało na wierność prawowitemu regentowi, ale nawet nie salutowało go. Ta pomsta, ze stanowiska dyscypliny wojskowej i uroku monarchicznego, wręcz potworna, trwała przez rok. W końcu potężny monarcha musiał, za przykładem szwagra swego, ustąpić: pozwolił najpierw salutować samego tylko regenta, z wyraźnem wyłączeniem jego rodziny, później, w r. 1898, zawarł formalny układ, uznający w zupełności prawa ks. Ernesta, ale kazał szwagrowi swemu wytoczyć sprawę przed radę związkową.

Ten spór o pierwszeństwo pomiędzy Schaumburgami a Biesterfeldami ciągle jeszcze wisi, a cesarz Wilhelm, uważając go za zupełnie prywatny, nadaje mu skutki prawno-publiczne: gwałci konwencyę militarną, którą sam podpisał. Ten pogląd tak jasno wybija się przed oczy, że w całych Niemczech, w kołach niezależnie myślących sprawia wrażenie wywartej samowoli. Z takiem też wrażeniem przyjął ją świat piszący i świat czytający gazety — opinia publiczna powszechna. Niezwykłą energię okazał sejm księstwa: nie poprzestając na obronie praw Biesterfelda, objętych po ojcu, postanowił zapewnić mu i trwalsze na czas po zgonie ks. Aleksandra. „Das lippesche Volk"—jest go około 150 tysięcy — wpada nawet w gorączkę. W sobotę i niedzielę ubiegłą odbyły się w Sonnebornie dwa wiece, jeden wszystkich stronnictw, drugi postępowy; na drugim nazwano telegram cesarski obrażającym, a samego cesarza uznano za wdziercę. Mały ten ludek czuje za sobą Niemcy nie-pruskie, wyczuwa już interpelacye w bliskim sejmie cesarstwa, widzi jakiego ma sprzymierzeńca w ludzie bawarskim, który żywiej od innych odczuł krzywdę księstewka, jako najdalszy od prusactwa i sprusaczenia.

Pod naciskiem opinii niemieckiej cesarz uległ na jednym przynajmniej punkcie — wysłania bezprawnego telegramu. Był to akt władzy cesarskiej, akt nie konstytucyjny, zrobiony bez kanclerza i rady związkowej, zatem nieważny. P. Bülow nie jest człowiekiem zdolnym do złego humoru wobec monarchy, ale dla tego samego, aby mógł mu wiernie służyć, potrzebuje uroku nazewnątrz, że nie jest prostym pachołkiem. Dlatego nakłonił swego pana do przytępienia grotu wypuszczonego zapomocą telegrafu i sam podjął się wystylizować odpowiednią treść. Znajduje się ona w liście Bülowa z d. 9 b. m. do vice-marszałka sejmu lipskiego: cesarz nie myśli wtrącać się w wewnętrzne sprawy i tamować wykonywania praw konstytucyjnych księstwa, ani też opierać się prawom regencyi przez ks. Leopolda zdaje się za radą związkową, na tej sąd polubowny. Zapewnienie takie nie zdoła zadowolić ani obywateli w Lippe, ani opinii niezależnej w Niemczech. Jeżeli cesarz rzeczywiście nie chce się wtrącać, to powinien wojsku swemu w tej chwili złożenie przysięgi nakazać. Nic na tem nie ucierpią ani podejrzane prawa Schaumburga, ani rozczulające przywiązanie do szwagra. Jeśli sąd polu-

bowny skaże Biesterfelda na ustąpienie, a Lippe wyrokowi temu się podda, Schaumburg będzie regentem; jeśli utrzyma, niegodnem jest i porządku państwowego i majestatu monarchicznego i wreszcie świętości zaciągniętego zobowiązania — to rozzuchwalenie żołnierza do lekceważania panującego, który niema szczęścia być szwagrem cesarza Wilhelma. Telegram, sam przez się będący bezprawiem, rozbudza poczucie prawa wobec Prus w tych częściach narodu niemieckiego, których jeszcze Prusy moralnie w siebie nie wessały. I to jest dobrą stroną telegramu i — cesarza Wilhelma.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Już d. 2 b. m. gen. Kuropatkin wydał, ale dopiero d. 10 b. m. *Prawit. Wiestnik* ogłosił odezwę do wojska, zapowiadającą mu przejście z postawy odpornej do zaczepnej. Ważne są w tej odezwie następujące punkta: W ciągu ubiegłych siedmiu miesięcy wojsko dokonało wielu czynów bohaterskich na lądzie i morzu. Nieprzyjaciel jednak nietylko nie jest zdeptany na proch, ale w dumie swojej myśli wciąż o zwycięztwie. Dotychczas wojsko rosyjskie było liczebnie od japońskiego niższe. Dlatego pomimo wielokrotnego odparcia gen. Kuropatkin nie uważał za odpowiednie nacierać, lecz kazał się cofać; to cofanie się wszakże prowadziło zawsze na przygotowane z góry pozycye. Pod Liao-jangiem przyprawili Rosyanie Japończyków o ciężkie straty, a choć do Mukdenu odeszli w najcięższych warunkach, choć posuwali się przez błoto nie do przebycia, nie zostawili jednak przeciwnikowi ani jednego działa, ani jeńców, zabrali z sobą wszystkich rannych i cały tabor. Cofanie się było niezbędne dla zwycięztwa, którego chwila nadeszła obecnie, wraz z nadejściem dostatecznych posiłków, które płyną i płynąć będą nieprzerwaną rzeką kolei. Dotychczas przeciwnik, korzystając z wielkiej liczebności i z oskrzydlającego rozlokowania swoich armij, wybierał pomyślny dla siebie czas do napadu; lecz obecnie już nastała dla Rosyan chwila ruszenia naprzód, zmuszenia Japończyków do posłuszeństwa. Niech przecież żołnierz pamięta, że nieprzyjaciel jest silnym i walecznym: nie samą tylko liczbą, ale i wolą zwycię-żenia pokonać go można, żadnych nie szczędząc ofiar. Zwycięztwa potrzeba dla dania odsieczy braciom w Porcie Artura, potrzeba go i dla państwa. Doniosłość zwycięztwa dla Rosyi żołnierz odczuwać, odczuciem przejąć się powinien.

Jakakolwiek może być doniosłość psychologiczna tej odezwy, dla strategii to tylko z niej pewnego wynika, że d. 2 b. m. gen. Kuropatkin miał takie już siły, iż przy nich mógł powziąć i rzeczywiście powziął zamiar zastąpienia dotychczasowej swojej zasady przewodniej: cofania się pomimo odpieranych ataków na z góry obierane pozycye — nową: uderzenia na Japończyków. Telegramy nieurzędowe agencyj telegraficznych rosyjskich świadczą, że ten zamiar zaczął już generał urzeczywistniać: z jednej strony, na zachodzie, posunął się pod znaną stacyę kolejową Jantaj, o 20 klm. od Liao-jangu na północ; z drugiej, na wschodzie, odebrał Japończykom Banjapudzę nad rz. Sza, o jakie 30 klm. w linii prostej od kolei i tyleż na północ od warowni polowej, wsławionej bitwami z końca sierpnia i początku września. Ta druga korzyść, jeżeli ją doniesienia urzędowe potwierdzą, będzie miała ważne znaczenie w razie obsadzenia zdobytego punktu siłą choćby jednej tylko dywizyi, zagrozi bowiem zniecźuleniem taktycznem korpusom Kurokiego i Nodzu. Natarcie na Japończyków wszakże może być w samym początku powstrzymane przez nawzajem zaczepne z ich strony działania. Gdyby się sprawdziło doniesienie podane przez *Ruś*, to od zachodu, po za Hun-ho, posuwałby się generał japoński Fuszyma i byłby już w końcu przeszłego tygodnia w Hsin-mintinie, tworząc symetryczny względem Mukdenu układ sił z armią Kurokiego, oczywiście z mniejszą znacznie siłą i mniejszem też zadaniem; zawsze jednak zajęcie krańcowego punktu kolei mandżurskiej chińskiej ujawniłoby w Japończykach zamiar natarcia daleko na północ od Jantaju i Banjapudzy.

Bardzo być może, że pomimo rzeczywistego nawet opanowania dwu tych punktów wódz rosyjski ze swej strony znowu istotnie zaczepne działania na innej linii czołowej rozpocznie, jeżeli go nie uprzedzą Japończycy. O rozstawieniu się ich nic nie wiemy, chyba to, że w przeszłym tygodniu zajmowali wzgórza i góry ponad płaszczyzną Hun-ho, że sięgali w głąb łańcucha dalińskiego, ku północy wszakże nie posuwając się za środkową i górną Hun-ho, że zupełnie panowali nad Tai-tsi-ho a obwarowywali leżący nad nią Liao-jang, że wreszcie na północ od tej rzeki docierali do małej Sza-ho, na której skręcie południowo-wschodnim leży właśnie owa jakoby przez Rosyan opanowana Banjapudza. Dawałoby to wszystko Japończykom od wschodu stanowiska na górach, zwrócone ku płaszczyźnie Hun-ho i drodze żelaznej, a od południa ograniczone rzeczką Sza. Domyślać się można Japończyków i między dolną Sza-ho (do Taitsi-ho, na zachód od Liao-jangu) a Hun-ho. Czy przekroczyli tę wielkę rzekę dla ustawienia się w większej sile na zachodzie? — niewiadomo. Ktokolwiek pierwszy natrze na przeciwnika, można przewidywać, że stanie się to na kilku punktach: około Fuszunu daleko na wschód od Mukdenu nad Hun-ho, na linii wzgórzy południowowschodnich, i ponad rzeczką Sza. Nie jest wyłączone z rachunku prawdopodobieństwa i usiłowanie Japończyków przedostania się za Hun-ho od Czantanu do Ertachaju.

Już po napisaniu słów powyższych doszła wiadomość telegraficzna z Tokio, że w d. 10 b. m. siedem dywizyj rosyjskich zaatakowało Japończyków na wschodzie od kopalni jantajskich, trzy zaś na zachodzie. Przypuszczać można, że miejscowością ataku pierwszego jest wąwóz Tumin-lin, drugiego—okolice stacyi Jantaju. Widoki Japończyków są tem gorsze, im bardziej wyciągnięci byli ku północy; możliwem jednak było iześrodkowanie się ich do dnia bitwy już na linii natarcia rosyjskiego.

Pod Portem Artura oblężenie nie uczyniło postępów. Japończycy utracili kanonierkę wskutek wybuchu miny. Na lądzie doznali niepowodzenia.

Flota baltycka w tym tygodniu wyruszyła na wody chińskie.

Na Korei, od północy, ukazali się Rosyanie. Japończycy myślą o obronie systematycznej. Koreę zajęli już politycznie, jako kraj będący pod protektoratem.

W Chinach samych, w prow. Kuang si, miał się wszcząć ruch powstańczy. We wszystkich prowincyach wewnętrznych lud zaczyna się burzyć przeciwko cudzoziemcom. W Pe-czy-li bokserzy występują teraz już w większej ilości. Chunchuzów w Mandżuryi ma być 10,000.

W Europie układ Francyi z Hiszpanią o Marokko. Tetuan i Tanger w sferze wpływów hiszpańskich; jakieś jeszcze korzyści, ale dopiero po latach piętnastu, czas, który Francya sama daje sobie na podbój. Formą układu przystąpienie do konwencyi francusko-angielskiej.

W Prusiech niesłychane w cywilizacyi rozporządzenie: nakaz mówienia po niemiecku w własnych rodzinach, dany nauczycielom Polakom przez ministra) oświaty, Studta.

Knut Hamsun.

ARCYFILUT.

Kochany czytelniku! Spotkałem tego człowieka na cmentarzu. Nie uczyniłem nic, aby się zbliżyć do niego, ale on od razu wziął mnie w arendę. Usiadłem tylko na ławce, na której on już siedział, zapytawszy:

— Czy nie przeszkadzam?

— Taki był początek.

- Byjnajmniej — odparł i zrobił mi miejsce. — Ot siedzę i patrzę na ten martwy majątek. — I ruchem ręki wskazał groby.

Znajdowaliśmy się na cmentarzu.

W miarę, jak ranek postępował, ożywiało się tu, powoli jeden za drugim zjawiali się murarze i inni robotnicy. Stary dozorca siedział już w swoim kiosku i czytał dzienniki. Tu i owdzie widać było kobiety w żałobie, zasadzające, podlewające lub pielące kwiaty. A w gęstwie kasztanów ćwierkało głośno ptactwo.

Nie znałem go wcale. Był to człowiek młody wysoki, barczysty, nieogolony, w odzieży dość zniszczonej. Zmarszczki na czole, nizki głos, zwyczaj mrugania okiem, gdy mówił, nadawały mu wygląd, jak to powiadają, „starego i doświadczonego człowieka.“

— Pan tu jest obcy?

— Żyłem na obczyźnie dziewięć lat — odpowiedział.

Przechylił się w tył, wyciągnął naprzód nogi i powiódł okiem po cmentarzu. Z kieszeni surduta wyzierały mu gazety niemieckie i francuskie.

— Jak też smutno na takim cmentarzu!— zauważył. — Tyle trupów na jednem miejscu. Tyle sił zużyto i tak mało zdziałano.

— Jak to pan rozumie?

— Jest to cmentarz żołnierzy.

— Aha, wieczysty pokój! — pomyślałem.

On zaś mówił dalej:

— A najohydniejsze ze wszystkiego to sposób oddawania czci zmarłym, opłakiwanie ich.

Pobożna bezużyteczność.

Uczynił szybki ruch i poprawił się na siedzeniu.

— Czy wie pan, że na tych grobach, w tym granicie leżą całe skarby? Rzuca się drogie kwiaty w błoto, stawia się wygodne ławki, aby na nich wysiadywać i płakać na urząd, wznosi się bałwochwalcze kamienie z łomów w Grefsenaasen — majątki leżą w tych kamieniach. Cmentarz jest jednem z miejsc najmniej podległych bankructwu... Co, może nieprawda? Warto się nad tem zastanowić — mówił dalej. — Raz umieszczony leży tu ten majątek nieruchomy, martwy. A wymaga jeszcze zarządu, to znaczy pewnego opiekowania się, łez, kwiatów, które spoczywają na mogiłach i więdną. A te wieńce, niemal po pół setki koron jeden!

— Socyalista jakiś — pomyślałem — wędrowny czeladnik, który bawił za granicą i nauczył się wymyślać na kapitał.

— Czy pan także nietutejszy?

— Tak.

Potem znów oparł się o ławkę plecami, dumał i mrugał oczyma, mrugał i dumał.

Dwie postaci staruszków mijają nas: oboje zgarbieni, nabożnie rozmawiają z sobą szeptem — może jacyś rodzice, idący na grób dzieci?

Wtem wicher zadął w tę stronę, skłębił pył i zeschłe resztki kwiatów, zaszeleścił zerwanym liściem, który wyschły od słońca snuje się po alejach.

Patrz pan!.. — odezwał się nagle, nie zmieniając pozycyi, tylko wskazując ruchem oka — widzi pan tę panią, dążącą ku nam? Przyjrzyj się jej pan, gdy będzie przechodziła.

Z Dalekiego Wschodu.

KLUCZ WSCHODU.

(Ciąg dalszy).

Do niewolników z wypadku należy zaliczyć służbę pałacową cesarza, która wyłącznie składa się z kobiet i eunuchów. Mężczyźni, nienależący do rodziny cesarza, nie mają wstępu za mury pałacu [1]). Mieszka tam za to kilkaset dziewcząt, wybranych z najpiękniejszych w kraju. Pozostają tam one całe życie, spełniając rozmaite posługi, a między innemi zadawalają przelotne kaprysy książąt krwi oraz samego panującego, skoro pożądania ich wybiegną po za kres licznych, uznanych żon i nałożnic [2]). Niewolnice pałacowe zwano „nil-iń"; niektóre z nich otrzymywały wykształcenie staranne. Te, które nie zostały kupione, ani gwałtem wzięte, lecz w dzieciństwie dobrowolnie oddane do pałacu przez rodziców, mogły go z pozwolenia monarchy porzucić i nawet wyjść za mąż, ale działo się to zazwyczaj bardzo rzadko. Liczba eunuchów pałacowych zależy od ilości służby kobiecej, zostającej pod ich bezpośrednim nadzorem; zwykle bywa ich tam około stu; mają też oni swoje niewolnice, które uważane są za ich nałożnice i dzielą z nimi łoże [3]). Eunuchowie kupują sobie małe dzieci, już okastrowane lub które kastrują sami, aby je usynowić i przeciągnąć w ten sposób swój wpływ na dworze. Są oni powszechnie nienawidzeni za okrucieństwo, przewrotność i chciwość oraz intrygi, jakie wciąż prowadzą, korzystając z ciągłego obcowania z monarchą. Cała ta organizacya służby pałacowej, nałożnic i eunuchów wzorowana jest na dworze pekińskim.

Niewolnicy z urodzenia (czion-i) nie mieli prawa wykupu dowolnego i dzieci ich były własnością pana. Większość ich uprawiała ziemię. Dzielili się na rządowych i prywatnych. Niewolnicy rządowi byli właściwie wieczystymi, przywiązanymi do roli dzierżawcami, obowiązanymi oddawać część zbiorów do skarbu, za co zwalniano ich od podatków. Niewielka więc zachodziła różnica między ubogim, wolnym dzierżawcą, płacącym uciążliwe podatki a niewolnikiem rządowym. Położenie niewolników prywatnych było o wiele gorsze, gdyż właściciele żądali od nich plonu całkowitego. Mimo to niejeden z nich doszedł do dobrobytu. W czasach wielkiego ucisku wielu chłopów wolnych zaprzedawało się w niewolę do możnych panów, aby uniknąć grabieży urzędniczej i prześladowań. Podróżnicy świadczą zgodnie, że niewola w Korei była lekką, z niewolnikami obchodzono się dobrze, utrzymanie mieli zadawalające, zaś panowie korejscy chętnie zamieniali zależność osobistą na czynsz. Ale tyczyło się to wyłącznie niewoli mężczyzn oraz niewolników sielskich. Położenie niewolników domowych, a szczególniej niewolnic było bardzo ciężki; właściciele tworzyli z nich swój harem, a następnie handlowali otwarcie ich ciałem, sprzedawali ich dzieci, wyzyskiwali okrutnie i bezkarnie ich pracę. Stąd cena niewolnic bywała większą; były one więcej poszukiwane od niewolników. Niewolnica nawet po wyjściu za mąż musiała pozostawać w domu swego pana, jeżeli on sobie tego życzył. Cena pięknych, dobrze wychowanych i ukształconych niewolnic sięgała niekiedy 15,000 jenów [1]).

W 1894 r. pod naciskiem Japonii niewolnictwo w Korei zostało urzędownie zniesione. Ale w istocie przetrwało po dziś dzień. Było ono jeszcze w 1897 r. przedmiotem publicznych rozpraw w „Klubie Niezależnych" w Seulu. Sprawozdawca podaje, że wiceprezes klubu, szlachetny Yjuon-jąg przed przyjściem na to zebranie wyzwolił swoich trzydziestu niewolników, spaliwszy dowody ich niewoli, poczem na zebraniu gorąco przemawiał za *dobrowolnem* oswobodzeniem wszystkich. Przeciwnicy dowodzili, że niewolnictwo jest tylko formą usługi, że bez służby obejść się niepodobna [2]).

Cokolwiek wyżej od niewolników, gdyż korzystają z swobody osobistej, stoi siedem niższych klas ludu prostego, ustanowionych zgodnie z nauką Konfucyusza przed pięciuset laty przez ministra Uang-Hui. Należeli do nich: 1) pachołkowie sądowi, którzy biją ludzi, 2) komedyanci i wędrowni śpiewacy (kuang tai), 3) rzeźnicy (pak-czang), 4) koszykarze (kaci-czang) „ponieważ obdzieranie drzewa z kory równa się obdzieraniu zwierząt ze skóry", 5) czarownice (mu-dań), 6) tancerki rządowe (ki-sań), 7) szewcy, szyjący skórzane obuwie (ka-pat-czi). [1])

Ludzie ci, wolni osobiście, podlegali rozmaitym ograniczeniom towarzyskim, nie mieli prawa nosić kapelusza, wchodzić do domów, siadać koło ludzi innych stanów. Gdy pewnego razu nawrócony rzeźnik Pak wszedł do kościoła, misyonarze mieli z tego powodu wiele kłopotu, wierni przestali chodzić do świątyni. „Wielka przykrość spotkała nas w kościele — tłomaczył się jeden z nich ze swej nieobecności — lepiej abyś pan o niej wiedział. Przychodziliśmy chwalić Stwórcę i czcić Zbawiciela. Odrzuciliśmy wiele zwyczajów korejskich, pozwoliliśmy robotnikom zajmować obok nas miejsca w świątyni. Jednakże nie możemy wyrzec się wszystkich zwyczajów i dopuścić, aby rzeźnik razem z nami znajdował się w kościele i siadał obok nas. Nie mamy zamiaru opuszczenia Chrystusa, jednakże wybudujemy sobie inny kościół i zbierać się będziemy gdzieindziej, gdyż tutaj już przychodzić nie możemy."

Dla charakterystyki położenia tej grupy pozwolę sobie przytoczyć petycyę podaną do ministra spraw wewnętrznych przez rzeźników Koan-cza-kol w Seulu:

„My słudzy pokorni od 500 lat trudnimy się rzezią zwierząt, co jest naszym zarobkiem. Przez ten czas zawsze wiernie spełnialiśmy nasze zadanie oraz prace przez rząd nam nakazane z okazyi dorocznych ofiar; pracowaliśmy dla rządu bezpłatnie i chętnie, a jednak obchodzono się z nami, jak z najniższą klasą z siedmiu pogardzanych i kiedy tym siedmiu dozwolono nosić *szerokie rękawy, kapelusz i mangen* (mycka włosiana na głowę), nam to wzbronione. Wszyscy gardzą nami i najlichszy urzędnik sądowy w prowincyi lub okręgu często kroć przychodzi do nas, żąda pieniędzy i zabiera je. Jeżeli odmawiamy mu, bije nas po twarzy, drze nam ubranie i obrzuca nas okropnemi słowami. Więzi nas,

[1]) Tamże, str. 371.

[2]) Oprócz głównej żony ma monarcha korejski 8 nałożnic wyższego rzędu; następcy tronu prócz żony wolno mieć 4 nałożnice, korzystające z honorów dworskich. Obsługuje cesarza 27 służebnic wyższych; następca tronu ma ich 9.

[3]) Podobnie nienaturalny stosunek zachodzi często wśród „braci i sióstr" skopców rosyjskich.

[1]) „Korean Repository," 1895, str. 372.

[2]) Tamże, 1897, November

[1]) Korean Repository, 1898 r. Apriel, p. 129.

Nic łatwiejszego. Otarła się prawie o nas swoją czarną suknią, a jej żałobny welon dotknął naszych kapeluszy. Za nią szła dziewczynka niosąca kwiaty, a z tyłu kobieta z grabiami i polewaczką. Wszystkie trzy znikły na skręcie, wiodącym w niższą część cmentarza.

— No? — zapytał.

— Co no?

— Nic pan nie spostrzegł?

— Nic nadzwyczajnego. Popatrzyła na nas.

— Przepraszam, popatrzyła na mnie. Uśmiecha się pan i chce we mnie wmówić, że nie ma pan ochoty spierać się o to ze mną. Rzecz się tak ma: przechodziła ona tędy kilka dni temu. Siedziałem tu i rozmawiałem z grabarzem, usiłując wlać w niego trochę powątpiewania w uczciwość jego zajęcia...

— Dlaczegóż to?

— Bo niepotrzebnie porusza przecież ziemię z olbrzymią szkodą dla tego wszystkiego, co ma z niej żyć.

— Aha, biedak! zbakierowany jakiś liberał — pomyślałem — gdzież to napisane jest w Piśmie Świętem, że zwłok nie powinno się grzebać w ziemi? Zaczyna mnie już nudzić.

— ...Siedziałem i rozmawiałem z grabarzem. To grzech, mówiłem. Pani ta właśnie w tej chwili przechodziła, słyszała te słowa i spojrzała na mnie. Mówiłem o grzechu w miejscu świętem... A propos, zauważył pan tę staruszkę z polewaczką i grabiami w zgrzybiałych dłoniach? A plecy jej jakie zgarbione! Zajęcie dosłownie zużyło to stworzenie... grzebanie i niszczenie ziemi — źródła życia. A spojrzał pan trzy, tylko trzy kroki wstecz, za tą czarną panią, która szła na grób, wyrażać swój smutek? No, właściwie nie o to chodzi. Widział pan, co niosła ta dziewczynka?

— Kwiaty.

— Kamelie, róże. Widział pan? Kwiaty po koronie sztuka. Delikatne kwiaty, żyjące nadzwyczaj krótkotrwałem życiem — gdy słońce trochę przypiecze, giną. Po czterech dniach wyrzuca się je za sztachety i zastępuje nowymi.

Wtedy rzuciłem odpowiedź temu liberałowi:

— Piramidy były przecież droższe.

Słowa moje nie sprawiły spodziewanego wrażenia. Zdaje się, że nie pierwszy raz słyszał tę uwagę.

— W owych czasach nie czuło się tego — odparł. — Egipt był w dodatku spichrzem państwa rzymskiego, świat nie był wtedy taki ciasny. Ja mam nieco doświadczenia i wiem, jak ciężko teraz jest na świecie. Nie z własnego doświadczenia to wiem, ale z doświadczenia innych, że piramidy na pustyni to jedna rzecz, a starannie utrzymany, nowoczesny grobowiec to znów coś innego. Rozejrzyj się pan! Setki grobowców, pomników za wielkie sumy, granitowych kolumn z Grefsenaasem po 3.60 koron za łokieć, darń z Egebergu po 2.50 kor. za sążeń kwadratowy. Nie mówiąc już o napisach i subtelnościach, stosowanych do samych kolumn polerowanych lub surowych, ciosanych lub łupanych, czarnych, białych, zielonych. Spojrzyj pan tylko na masę murawy! Mówiłem o tem z grabarzem — zapotrzebowanie jest tak wielkie, że trudno darni dostać. A proszę pamiętać, czem jest darń dla ziemi—jej życiem.

Odparłem tedy, że toż samo życie nie może i nie powinno być odarte z wszelkiego ideału, Przecież okoliczność, że ludzie swoim drogim zmarłym użyczają trochę darni, posiada pewne znaczenie etyczne... Tak też i dziś sądzę.

— Widzi pan — zawołał gwałtownie — z tego, co tu dziennie się marnuje, mogłyby wyżyć rodziny, możnaby wychowywać dzieci, ocalać rozbitków. Wiem, że teraz siedzi tam owa młoda kobieta i zasadza kamelie, wartości dwóch sukienek dla dzieci.

— Nie ulega wątpliwości, że to socyalista, a może nawet anarchista, którego bawi odwracanie do góry nogami poważnych

zmusza do pracy, za którą nigdy grosza nie dostajemy, lecz jedynie szydercze, obelżywe wyrazy. Na domiar złego, *łają nas nawet chłopcy nie wyżsi nad trzy stopy.*

Czyż na całym świecie znaleźć można równie, jak my, upośledzonych ludzi? Kuang-tai (błazen), chociaż jeszcze niżej od nas stoi, nosi *kapelusz, mangen* i *pas*, ubiera się jak wszyscy ludzie, my jedni, korni pana ministra sługi, czynić tego nie możemy, dlatego smutek przenika nas aż do szpiku kości. Na klęczkach wysłuchaliśmy wieści, że wasza ekscelencya zamierza obalić dawne zwyczaje, wprowadzić nowe prawa, co od wielu lat było nadzieją i pragnieniem pokornych sług w. eksc., teraz znów na klęczkach błagamy o wydanie osobnego dekretu do rozpowszechnienia we wszystkich prowincyach i w urzędach sądowych, że wasza ekscelencya przyjęła naszą petycyę, że wolno nam już będzie nosić *kapelusz* i *mangen*; że odtąd słudzy sądowi nie będą źle obchodzić się z nami."

Rzeźnicy następującą otrzymali odpowiedź:

„Życzenia wasze będą spełnione. Noście *kapelusz* i *mangen*, ubierajcie się, jak inni ludzie prostego stanu. Pamiętajcie jednak, że tylko z pozoru do innych podobni jesteście i dbajcie o duchowy swój rozwój. Jeżeli was urzędnik sądowy będzie gnębił, bądźcie ostrożni, nie sprzeczajcie się z nim, lecz pokażcie mu dekret." W tymże roku, w jedenastym miesiącu rzeźnicy z prow. Kan-noń-do wysłali znów do ministra spraw wewnętrznych petycyę następującej treści: „Nowe prawo wprowadzono we wszystkich prowincyach, z wyjątkiem prow. Kang-Uoń-do, gdzie panują rozruchy Tong-Hak'ów. Nie mogliśmy więc dotąd nosić ani kapelusza, ani *mangen*, i nie zmieniło się nasze smutne położenie. Proszą zatem pokorne sługi Waszej Ekscelencyi aby wysłano rozkazy z Cziun-cziu (siedliska gubernatora prowincyi Kang-Uoń do), do każdego urzędu sądowego, że nowe prawo obowiązuje tak tu, jak i w innych prowincyach."

W odpowiedzi zawiadomiono rzeźników, że ponieważ wydano już dekret, więc niech siedzą cicho. W roku następnym, w trzecim miesiącu, rzeźnicy znowu podali prośbę: „Wszystkie niższe klasy ludzi zapisane są w narodowych archiwach, ale my nie zostaliśmy do nich zaliczeni. Jesteśmy więc od czasu, kiedy wolno nam nosić *kapelusz* i *mangen*, tylko pozornie podobni do reszty obywateli, ale nie w rzeczywistości. Błagamy więc waszą ekscelencyę, aby nas zapisano do szeregów ludności pospolitej." — Odpowiedź. „Ponieważ wszyscy mieszkańcy kraju są naszymi poddanymi, wasza prośba nie może być odrzuconą, a wasze żale będą uwzględnione. [1])

Większość ludu korejskiego składa się z *wieśniaków* (sian-nom). W istocie są to i byli zawsze niewolnicy państwowi, wyzyskiwani niemiłosiernie przez urzędników i szlachtę. W ciągu długich wieków pełnili oni służbę wojskową, płacili podatki, spełniali najrozmaitsze żądania i roboty z polecenia każdego, kto miał najmniejszy cień władzy, pod groźą sądu, egzekucyi i ciężkich kar, których im nie szczędzono nigdy. Niezgłębioną ich cierpliwość rząd poddawał najrozmaitszym próbom, przeprowadzał najrozmaitsze zakazy i wydawał najdziwaczniejsze prawa, a za najsłabszy opór karał surowo i bezwzględnie. Według praw korejskich, za *bunt* uważane jest nietylko *nieposłuszeństwo* rozkazom królewskim, lecz również *nieposłuszeństwo władzy miejscowej*, a nawet prosta krytyka jej rozporządzeń. *Bunt* karano śmiercią, dożywotniem wygnaniem i konfiskatą majątku. [2]) Od czasu do czasu jednak wybuchały istotne zaburzenia, zwykle tłumione okrutnie i krwawo. Zresztą uległość wieśniaka korejskiego nie ma zdaje się granic. Autor artykułu „He is farmer" dowodzi, że zaburzenia te ograniczały się zwykle do krzyków, wywijania kijami i wzywania 5,000 potęg na głowy krzywdzicieli [3]) lecz historya świadczy, że przybierały one niekiedy charakter poważnych powstań, jak naprzykład, zaburzenia w okolicach Seulu w 1882 r. wywołane suszą i wyzyskane przeciw Japończykom przez partyę konserwatywną, albo powstanie w Kobu (1893 r.), z którego skorzystali ton-hak'owie. Z powodu grubej ciemnoty i zabobonności wieśniaków korejskich zaburzenia te wybuchały prawie zawsze nie w porę i dawały się z łatwością zwracać władzy w inną stronę. Gniew ludu skierowywano przeciw chrześcianom i cudzoziemcom, buddystom i Japończykom, naruszycielom „starych obyczajów" podczas, gdy główne narzędzia ich uciemiężenia — szlachta i urzędnicy uchodzili cało. Prawo z 1894 r. zniosło niewolnictwo, zniszczyło przywileje szlachty i urzędników, wprowadziło równość wszystkich wobec prawa, ale... zdaje się, że lud prosty z darowanych mu swobód zachował jedynie prawo noszenia kapeluszy, „man-gen" oraz szerokich rękawów, po za tem urzędnicy i szlachta postępują, jak dawniej... Wyrobił sobie jednak lud korejski pewną, z jego potulnym charakterem zgodną formę biernego oporu, do której ucieka się w razie niezwykłych nadużyć. W Korei nadzwyczaj rozpowszechnione są stowarzyszenia (kie) zawodowe, spożywcze i wzajemnej pomocy; są nawet pogrzebowe sian-bo-kie), weselne (pu-czio-kie), dostarczające środków do świętowania Nowego Roku (sie-czioń-kie), pożyczkowe (pak-ha-kie), wreszcie postrzyżynowe (pu-czio-kie), ułatwiające materyalnie obchód uroczystości obrzędowej zaplatania włosów chłopcom po dojściu do pełnoletności, albo egzaminowe — dające na podróż do stolicy i złożenie tam egzaminu państwowego itd. Wszystkie prawie rzemiosła i zawody zorganizowane są w cechy [1]), jest ich w Korei bez liku, wspomagają się wzajem i występują bardzo solidarnie.

(C. d. n.)

W. Sieroszewski.

[1]) (Korean Repository, 1898 r., April, str. 127). Dla wyjaśnienia niektórych punktów tych próśb dodam, [illegible] zwierząt ofiarnych, których liczba w każdej prowincyi dochodzi do 1,000 i więcej sztuk rocznie, za to wolni są oni od podatków; każdy zaś kto nie płaci podatków, nie jest wciągnięty do ksiąg ludności. Nazwę chłopca (nomi) nosi każdy mężczyzna, który bez względu na wiek uważony jest za niepełnoletniego, nie ma on prawa używać kapelusza i jest przez żonatych traktowany lekceważąco, sam jednak musi im okazywać szacunek. Za poufałe obejście się „chłopców" z żonatymi, ci mają prawo surowo ich karać i biją nawet po twarzy. Jedynie do rzeźników, nawet żonatych, mogą „chłopcy" odzywać się lekceważąco, z czego, rozumie się, korzystają.

[2]) „Opis Korei", część II, str. 395.

[3]) „Korean Repository." 1898 r. str. 231.

[1]) O gildiach kupieckich już mówiliśmy wyżej. Rozdział XVII.

---

kwestyj — pomyślałem, słuchając go z coraz mniejszem zajęciem.

On zaś mówił dalej:

— A tam siedzi człowiek — stróż niby. Czy wiadomo panu, jakie jest jego zajęcie, prócz sylabizowania dzienników? Ma pilnować grobów. W kulcie dla umarłych musi także panować porządek. Wchodząc dziś, powiedziałem mu, że gdybym widział dziecko, kradnące kwiaty na kupno książek, dziewczynkę drobną, wystraszoną, któraby zciągała kamelię, aby sobie kupić coś do zjedzenia, nie zdradziłbym jej, lecz przeciwnie pomógłbym. To grzech — powiedział stary dozorca. Grzech — powiedział. A gdyby tak pana zatrzymał na ulicy człowiek głodny i zapytał: która godzina? Wyciąga pan swój zegarek—niech pan spojrzy wtedy w jego oczy. Z błyskawiczną szybkością porwie panu zegarek i ucieknie. Pozostają panu dwie drogi: dać znać do policyi o rabunku, a po kilku dniach otrzyma pan napowrót swój zegarek, znaleziony u jakiegoś lichwiarza, pożyczającego na zastaw, lub zamilczeć... Ale czuję się cokolwiek zmęczony, nie spałem tej nocy.

— Tak? nie spał pan? No, dzień się ma ku końcowi, muszę wracać do pracy.

I podniosłem się, chcąc odejść.

On wskazał w stronę morza i wybrzeża.

— Chodziłem po tych zaułkach, chciałem zobaczyć, jak też spędza noce nędza i występek. Posłuchaj pan — dzieją się tam dziwne rzeczy.

Pewnego wieczora przed dziesięciu laty siedziałem tu, na tem samem miejscu, zdaje mi się, że nawet na tej samej ławce i wydarzyło mi się coś, czego nigdy nie zapomnę. Już się ściemniło, ludzie porozchodzili się do domów; kamieniarz, który leżąc na marmurowej płycie, rył napis, skończył także swoją robotę, wdział surdut, powtykał w kieszenie narzędzia i odszedł. Po chwili zerwał się wiatr, szamocąc kasztanami; duży, żelazny krzyż, stojący w pobliżu — niema go już obecnie — począł się nawet chwiać. Ja zapiąłem się również i już miałem odchodzić, gdy u skrętu ujrzałem grabarza, bez surduta, z gołą głową, który, przebiegając, rzucił mi pytanie, czy nie widziałem przechodzącej dziewczynki w żółtej sukience i z torbą na książki.

Nie pamiętałem, abym ją widział.

— A cóż się stało? — zapytałem.

— Ukradła kwiaty! — odpowiedział grabarz i pobiegł naprzód.

Siedziałem spokojnie, czekając, dopóki nie wrócił.

— Znaleźliście ją?

— Nie, ale zamknąłem bramę, nie umknie.

Trzeba było urządzić formalną obławę: mała zapewne jeszcze znajdowała się na cmentarzu. To już trzecia dzisiejszego dnia — skarżył się. — A wszystko to dzieci, chodzące do szkoły, dziewczynki sprytne, które dobrze wiedzą, że to grzech. Co pan mówi? Sprzedają je, robią z nich bukiety i sprzedają. Tak, tak, miłe dziateczki!

Towarzyszyłem grabarzowi, pomagając mu w szukaniu małej. Ale skryła się dobrze. Przybraliśmy do pomocy stróża, szukaliśmy we trzech i nie znaleźliśmy jej. Zaczęło się ściemniać, więc przestaliśmy szukać.

— Gdzież jest ten grób okradziony?

— Tam, grób także dziecinny. Widział kto coś podobnego?

Poszedłem na wskazane miejsce. Okazało się, że to był grób znanej mi zmarłej dziewczynki, którą tego samego przedpołudnia pochowaliśmy właśnie. Zniknęły kwiaty, które ja złożyłem... nigdzie ich nie mogłem dojrzeć.

— Trzeba koniecznie szukać jeszcze — odezwałem się do tamtych. — To ohydne!

(C. d. n.).

Z norwezk. przeł. *J. Klemensiewiczowa.*

ŻYCIE SPOŁECZNE.

UNIKAT?

Przed laty 50 Pius IX ogłosił dogmat niepokalanego poczęcia. Daremne były protesty wielu księży, a nawet dostojników Kościoła, pragnących go ochronić od tej nowej prawdy; pozostała ona w nim nieomylną i niewzruszoną. Już wtedy można było przewidzieć, że chociażby cały świat odwrócił się od tego artykułu wiary, Galicya będzie stała przy nim silnie, bo ona właśnie wybrana została na to, ażeby *credere*.

Zgodnie z tą swoją wielką misyą uczciła półwiekowy jubileusz ogłoszenia dogmatu niepokalania „kongresem maryańskim" we Lwowie. Kto tam był, co prawiono i uchwalono, to po za uczestnikami wiecu nikogo nie obchodzi, więc pomijam. Ale zaznaczyć należy mowę prezesa krakowskiej Akademii Umiejętności, profesora uniwersytetu, hr. S. Tarnowskiego. Szanowny ten mąż, który nad brzegiem oceanu ułożył kupę próchna i chce, ażeby ono swem światłem służyło w nocy za latarnię morską statkom, zbłąkanym przez szatana, ściśle nie wie, czy w naszych czasach zły duch więcej broi, czy mniej. Bo na początku swej oracyi rzekł: „*Nigdy podobno* bezbożność nie przyznawała się do siebie tak otwarcie, nie afirmowała się tak zuchwale, jak dzisiaj; *może czuje się pewniejszą siebie, bliższą swego celu*..." Ale zapłakawszy jedną połową twarzy, roześmiał się drugą i zawołał: „Szatan ani już zwyciężył, ani zwycięży kiedykolwiek w przyszłości. W tem się przerachował on i jego słudzy. A choć jego siły i wysilenia większe są dziś, niż przed stu laty, to jeszcze do zwycięztwa dziś jest *dalej, niż wtedy*." Licho, jak licho, odurza człowieka: kto tam zgadnie, czy ono jest bliżej, czy dalej od celu. Ale prawdopodobnie dalej. Bo — jak zapewnia archikonfraternik literacki — „filozofia, nauka, sztuka, poezya, miłosierdzie, zgromadzenia zakonne, jedne nowe, drugie odrodzone, stowarzyszenia ludzi świeckich, kaznodziejstwo wszystkich języków i rodzajów, wszystko stanęło do apelu." Kto wątpi, niech zajrzy do odcedzin wiedzy i sztuki, a znajdzie tam istotnie męty i filozofii, i nauki, i poezyi, które służą do napełniania wiwatowych kieliszków na ucztach bractw dewocyi. Jest ich nawet dużo, chociaż nie tak dużo, ażeby przyszły następca hrabiego T. w uniwersytecie i akademii mógł być wolny od obowiązku pociągania za sznur tej alarmowej sygnaturki. A miejmy nadzieję, że on będzie podobny do swego czcigodnego poprzednika. Za to nam ręczy Galicya. Boję się popełnić nieścisłości, więc pozostawiam czytelnikom do odpowiedzi pytanie: ile też na świecie ucywilizowanym jest krajów, w których profesorowie uniwersytetu i prezesowie akademii umiejętności przyjmują udział w takich zebraniach i wygłaszają takie mowy? Warto byłoby zbadać, bo może (tak sądzę) okazałoby się, że Galicya a w niej hr. Tarnowski jest unikatem. Chyba obok niej stanęłaby Hiszpania, która również posiada obfite zbiory prezesów i profesorów, w Europie już wycofanych z obiegu, ale numizmatycznie ciekawych.

Go—on.

AUTORYTETY.

W życiu naszego społeczeństwa niepoślednią rolę odgrywają autorytety. Człowiek, którego przyłapano na gorącym uczynku (byle nieprzewidzianym przez kodeks karny), nie potrzebuje się u nas tłomaczyć, ani usprawiedliwiać. Dość, gdy zapewni, że to samo przed dziesięciu laty popełnił znakomity Schmidt. Społeczeństwo nasze szanuje znakomitości. Społeczeństwo nie może potępić człowieka, przyłapanego na gorącym uczynku, bo w ten sposób potępiłoby Schmidta. A Schmidt — to znakomitość, a każda znakomitość — to autorytet. Wiadomo zaś, że potrzebujemy autorytetów na każdym kroku i o każdej porze, bo nic bez nich nie potrafimy przedsięwziąć, ani na nic się zdobyć. To też mamy ich tyle, ile nam potrzeba. A potrzeba nam wiele, wiele, o! więcej nawet, niżby to mogło się komukolwiek zdawać. Bo, proszę, przejrzyjcie tylko nasze gazety i tygodniki, wczytajcie się w te wszystkie przeglądy, sprawozdania, krytyki, wiadomości bieżące i notatki reporterskie. Wczytajcie uważnie, a przekonacie się, że autorytet — to siła, która wtargnęła wszędzie, a z którą nikt nawet nie próbuje walczyć. Bo i jakże walczyć z autorytetami, skoro właśnie one stanowią naszą broń i tarczę. Czyż uwierzymy temu, kto własnym rozumem dowiedzie, że dwa razy dwa — to cztery. Nie, to nas nie przekona. My potrzebujemy, aby nas zapewniono jeszcze, że tego samego zdania był genialny Goethe lub nieśmiertelny Shakespeare. W ostateczności powołać się można na Sienkiewicza, ale powołać się trzeba, bo to dodaje powagi i łatwiej przekonywa, niż najlogiczniejsza argumentacya.

Pan A, piszący przeglądy życia społecznego, utrzymuje, że płytkość umysłu wyrządza społeczeństwu niepowetowane szkody. Pan A wie, że nikt temu nie da wiary, jeżeli on tego zacznie dowodzić. Zresztą pan A nie chce dowodzić, bo i po co? Od czego są znakomitości? Dość, gdy przypomni, że to samo powiedział... Rochefoucauld.

Krytykowi literackiemu, panu B zależy na tem, a przekonać czytelnika, że typ kobiecy w ostatniej powieści p. Anatolii Szprot-Orwieczedziówny jest typem sympatycznym. Pan B nie powie, co nazywa typem sympatycznym, on nas zapewni tylko, że ten sam typ uważali za sympatyczny Bourget, Strindberg, Hartman i oczywiście Schmidt. I któżby po takiem zapewnieniu ośmielił się wątpić. Można nie wierzyć panu B, ale skoro to samo utrzymuje Schmidt, to widocznie tak już być musi...

Ten sposób pisania ma swoje dobre strony. Bo jeżeli wyrzucicie z artykułów panów A i B to wszystko, co jest ich własnością, to pozostaną jeszcze autorytety. A co wam pozostanie, jeżeli usuniecie autorytety? Nic... to jest, ściśle mówiąc, pozostaną panowie A i B. O tak, długie cytaty i liczne nazwiska stanowczo mają swoje dobre strony! Niby płaszcz królewski zakrywają często zwyczajny szkielet słomianego stracha na wróble. I dobrze, że są takie nazwiska, bo społeczeństwo nie lubi strachów. Po co zresztą straszyć to biedne, poczciwe społeczeństwo? Dość przekonać, a przekonać łatwo. Potrzeba tylko kilku nazwisk, a słoma nabiera blasków tęczy.

Tak, tak, nazwiska mają moc przekonywania, ale nietylko nazwiska. Czasami autorytetem staje się miejscowość.

Iks, dajmy na to, proponuje wbijanie na pal, obcinanie języka i uszu lub choćby tylko łamanie stawów nożownikom warszawskim. Iksowi zdaje się, że to jest najlepsze rozwiązanie sprawy. Iksowi zdaje się, to znaczy, że Iks nie jest obowiązany zastanowić się, do czego projekt taki doprowadzić może. Iks nie zagłębia się i nie myśli, on tylko bada, czy stosowanie kar takich miało już miejsce gdzieindziej. Okazuje się, że w ten sposób karzą nożownictwo w Honolulu. Dość! Sprawa rozwiązana: *przecież* tak się robi w Honolulu!..

Igrek uważa, że kobiety, uczęszczające na widowiska do teatrów, powinny zdejmować kapelusze. Dlaczego? Czy może dlatego, że Igrek nie widzi, co się dzieje na scenie? Gdzieżtam! przedewszystkiem dlatego, że w cywilizowanym Berlinie ten zwyczaj dawno już został zniesiony. A gdyby tak np. w „cywilizowanym Berlinie" dotąd istniał „ten dziki zwyczaj"? Ha, świat (na szczęście Igreków) szeroki, a Igrek zawsze znajdzie jakiś budujący przykład. Igrek zawsze znajdzie to, co mu potrzeba. Od tego jest Igrekiem.

Zeta wyzywają na pojedynek. Zet chce sam żyć, biedaczysko i nikogo życia pozbawiać nie pragnie, więc nie przyjmuje wyzwania. Mogłoby się zdawać, że ma prawo do tego. Nieprawda. Zet tego nie mówi, utrzymuje tylko, że tak postępuje się w Anglii.

I tak zawsze. Nigdy przyczyn nie szukamy w sobie, ale po za sobą. Zmieniamy nazwisko na miejscowość, miejscowość na nazwisko, a nazwisko i miejscowość na zwyczaj lub tradycyę. Sądzimy, że zmiana okularów stanowi wzrok. Potrafimy chodzić o własnych siłach, ale odpowiedzialność za każdy nasz krok spychamy na autorytety. I szukamy parawanów. Tak dalece przyzwyczailiśmy się do myślenia według szablonu, że pod groźbą ignorancyi obawiamy się każdego cienia samodzielności. Powiedziałeś rzecz mądrą — daj przykład, że to samo powiedział autorytet, palnąłeś głupstwo — daj dwa przykłady, a wnet podziwiać będą twą mądrość. Bo między mądrością a głupstwem niema różnicy, są tylko autorytety. Jeżeli więc chodzi o miejscowość, to najlepiej powołać się na Amerykę (z dodatkiem, zależnie od potrzeby: barbarzyńska lub cywilizowana, niemiłosierna lub dobroczynna itd. Kto tam u nas wie coś pewnego o Ameryce, zwłaszcza wówczas, gdy nie wie nawet tego, o której Ameryce mowa), jeżeli zależy na nazwisku — to najpewniej zacytować Schmidta. A propos: czy wiecie, kto jest Schmidt? Mniejsza o to! Wiecie — dobrze, a nie wiecie, to też nic nie szkodzi, bo u nas ludzie boją się „zblamowania" i nie zadają „pytań niedyskretnych." Zresztą Schmidta możecie zastąpić Hartmanem, a Hartmana... ach, wszystko jedno, pierwszem gorszem nazwiskiem, byle tylko nazwisko to wypowiedziane było tonem uroczystym. Bo przyznajcie, że „bądź co bądź" bezpieczniej w każdym wypadku oprzeć się na autorycie, choćby tym autorytem miał być Hartman lub Schmidt. Nieprawdaż? Ależ tak, tak, myśmy to zrozumieli, doskonale! Jak z rękawa sypiemy przy każdej sposobności nazwiska, cytaty, przykłady, tylko nie cytujemy... siebie. Może to dowód własnej skromności? Może. A może nie lubimy myśleć?.. Może. A może dlatego tak konserwujemy autorytety, że bez nich nic nie mielibyśmy do powiedzenia? Hm .. a może rozumiemy tylko swój własny interes? Napewno.

Tak, tak, niedość mieć rozum, racyę, u nas trzeba mieć jeszcze za sobą autorytet.

Tak, tak... *Artur Śliwiński.*

LISTY GALICYJSKIE.

Sprawa reformy wyborczej w sejmie Lwowskim. — Nowa sesya. — Kongres klerykalny we Lwowie.

Z rozpoczęciem sesyi sejmu lwowskiego wyłoniła się znowu sprawa reformy wyborczej, postawiona na porządku dziennym tym razem przez posła ru-

sińskiego p. Oleśnickiego. Projekt p. Oleśnickiego jest nad wyraz skromniutki i stanowi prostą kopię badeniowskiej ordynacyi wyborczej — z tą chyba tylko różnicą, że hr. Badeni utworzył V kuryę w parlamencie z daleko większem uwzględnieniem interesów mas ludowych, aniżeli demokratyczny poseł rusiński. Kiedy bowiem hr. Badeni pomnożył liczbę posłów galicyjskich o 24%, p. Oleśnicki pomnaża ją zaledwie o 9%. Pierwszy dodał 15 posłów do 63-ch, drugi chce dodać 15 do 165! P. Oleśnicki żąda jednocześnie wprowadzenie wyborów bezpośrednich i tajnych oraz szeregu przepisów, usuwających obecną korupcyę wyborczą — i to tylko ratuje honor jego projektu. Po za tem p. Oleśnicki spokojnie znosi wybieranie jednego posła przez 6—7 powiatów, tak samo spokojnie znosi istnienie w sejmie 12 posłów wirylistów — niewybranych przez nikogo, piastujących godność poselską jedynie na mocy tego, że są biskupami (8 „posłów"), rektorami uniwersytetów i politechniki lub prezesują Akademii Umiejętności. Ciekawe, że p. Oleśnicki wniósł projekt tak skromny, kiedy wszyscy jego koledzy, a i on sam w agitacyi wśród wyborców stale głoszą konieczność zaprowadzenia *równego* prawa wyborczego bez żadnych kuryj. Najwidoczniej p. Oleśnicki i podpisani pod jego wnioskiem posłowie rusińscy i polscy (z Polaków dali swe podpisy pp. Stapiński, Krempa, Włodek i Żardecki) chcieli uczynić projekt najmożliwszym do przyjęcia przez większość sejmową. Naiwne te rachuby okazały się najzupełniej złudnemi, gdyż wroga ludowi większość sejmowa nawet o tak skromnej reformie nie chce słyszeć.

P. Oleśnicki żądał, jak to jest we zwyczaju, odesłania projektu reformy wyborczej do specyalnej komisyi, złożonej z 15 posłów. W odpowiedzi na to jeden z mówców oligarchii reakcyjnej, trzęsącej Galicyą, poseł Dawid Abrahamowicz wygłosił mówkę, w której energicznie sprzeciwił się wysadzeniu specyalnej komisyi do sprawy reformy wyborczej i wniósł przekazanie projektu p. Oleśnickiego komisyi administracyjnej. Byłoby to cynicznem pogrzebaniem całej sprawy, co też wyjaśnił poseł Stapiński. Większość sejmowa przyjęła naturalnie wniosek p. Abrahamowicza. Była to demonstracya kliki, niechcącej ustąpić ani piędzi ze swej władzy na rzecz mas ludowych. W odpowiedzi na nią p. Stapiński złożył do laski marszałkowskiej wniosek o zaprowadzeniu bezpośredniego, równego, tajnego głosowania przy wyborach do sejmu krajowego również demonstracyjny przy obecnym, wrogim ludowi nastroju większości sejmowej.

Na posiedzeniu dn. 8 października wniosek ten przyszedł pod obrady. Galerye szczelnie wypełnili robotnicy, którzy przyszli przypatrzyć się pogrzebowi projektu, ich przedewszystkiem obchodzącego. Poseł Stapiński wygłosił znakomitą, przeszło dwie godziny trwającą mowę, w której szerokimi rzutami odmalował dzisiejsze bezprawne położenie mas, zgromadził cały stos argumentów, przemawiających za głosowaniem powszechnem i udowodnił, jak olbrzymia zmiana zaszłaby w stosunkach krajowych po jego zaprowadzeniu. Żądał on, aby na 50,000 mieszkańców wybierano jednego posła i przemówienie swe zakończył wezwaniem do Izby, aby nie deptała praw ludowych. Galerya przyjęła mowę oklaskami, za co ją skarcił marszałek krajowy.

Przez cały czas trwania przemówienia Stapińskiego konserwatyści zachowywali się z pogardliwą obojętnością, a prezes Akademii Umiejętności, hr. Stanisław Tarnowski, czytał ostentacyjnie pornograficznego *Bociana*. Wniosek mówcy, aby powierzyć jego projekt specyalnie wybranej komisyi, został tak samo odrzucony, jak wniosek p. Oleśnickiego. Na propozycyę p. Hupki przekazano ją komisyi administracyjnej przy głośnych okrzykach oburzenia na galeryi. Tak więc lud miejski w Galicyi musi czekać, aż sejmy innych „krajów, reprezentowanych w radzie państwa," zaprowadzą u siebie reformę wyborczą. Dopiero wówczas, gdy Solnogród i Przedarulanin, Dalmacya i Bukowina posiądą jakieś V kurye, stańczycy galicyjscy uznają za nieprzyzwoite nieobecność takiej kuryi w sejmie lwowskim.

A tymczasem sejm lwowski będzie w dalszym ciągu traktował obojętnie interesy ludu, sprawy dobrobytu i kultury mas. Tegoroczny budżet krajowy, przedłożony sejmowi, zawiera nowość, doskonale ilustrującą usposobienie większości posłów. Chodzi mianowicie o uszczuplenie kredytów na szkolnictwo krajowe, znajdujące się w opłakanym stanie w porównaniu ze szkolnictwem państw i krajów Europy Zachodniej. Cóż po za tem przynosi nowa sesya sejmowa? Projekty różnych reform połowicznych, przyjmowane z największą nieufnością przez tych właśnie, dla których są przeznaczone, jak np. ustawa o włościach rentowych, o pośrednictwie pracy lub komasacyi gruntów. Sprawa gimnazyum rusińskiego w Stanisławowie przyjdzie znowu na porządek dzienny i, zdaje się, zostanie załatwiona przychylnie, co jest wynikiem nowej szacherki ugodowej stańczyków z odłamem posłów rusińskich, na których czele stoi poseł Oleśnicki. Po za tem sejm będzie przedstawiał obraz nędzy moralno-umysłowej i nudów, płynących z pustych ławek, tak na zebraniach ogólnych, jak i w komisyach.

Mieliśmy we Lwowie świeżo olbrzymią demonstracyę polityczną klerykałów pod firmą „kongresu maryańskiego", w której wzięły udział wszystkie żywioły reakcyjne z przekonania, a po za nimi cała falangi obłudników z różnych sfer, udających religiantów z karyerowiczowstwa i serwilizmu względem możnych. Urządzono pochody demonstracyjne, odczytano mnóstwo referatów treści mniej lub więcej scholastycznej i jednocześnie naradzano się nad utrwaleniem panowania klerykalizmu w najróżnorodniejszych dziedzinach życia. Pisma prześcigały się w manifestowaniu swych uczuć pseudoreligijnych, narodowo-demokratyczne *Słowo Polskie* wystąpiło ostentacyjnie z artykułem wstępnym na cześć Matki Boskiej. Urządzający kongres maryański teroryzowali publiczność, zmuszając nawet innowierców do udziału w uroczystości. Wskutek rozszerzenia się zatrważających pogłosek kahał Lwowski wysłał do arcybiskupa Bilczewskiego specyalnego delegatu w celu zasięgnięcia opinii, czego się żąda od Żydów. Arcybiskup łaskawie zaznaczył, że uroczystość jest ściśle katolicką, więc udział w niej Żydów nie jest wymagany. Swoją drogą dużo Żydów przemysłowców i handlarzy zaasekurowało swe szyby kartkami jubileuszowemi, sprzedawanemi przez urządzających uroczystości. Na najbardziej wystawne dekoracye wysadziły się dwa banki żydowskie: „Bank hypoteczny" i „Wiener Bankverein". Jeśli i inne dekoracye pochodziły z tak samo szczerze-religijnych pobudek jak te, to organizatorowie demonstracyi klerykalnej nie mają zbyt dużo powodów do zadowolenia.

Podczas kongresu maryańskiego podnoszono z naciskiem konieczność założenia partyi politycznej w duchu katolickim. Tymczasem takie partye zakładane są bez mała co rok z jednakowem powodzeniem, żywot ich jest tak efemeryczny, działalność tak znikoma, że w parę miesięcy po założeniu „partyi" sami założyciele zapominają o jej istnieniu. I nowa próba z pewnością nie będzie pomyślniejszą od dotychczasowych: pewna ilość gotówki zginie w bezdennych kieszeniach jakiegoś nowego Łucyka, Hacusia, Maja, Węgrzyna, który wcześniej, czy później znajdzie się za kratami kryminału, i klerykaliści będą musieli szukać nowego „agitatora" dla nowej „partyi." Jakoś cicho było na kongresie maryańskim o założeniu pisma klerykalnego, choć od upadku *Przedświtu* lwowskiego Galicyi brakuje tej ozdoby prasy. Dowiadujemy się natomiast z referatu hr. Dębickiego, dlaczego wszystkie te *Unie*, *Ruchy Katolickie*, *Przedświty*, *Grzmoty* itp. w żaden sposób nie mogą się utrzymać i zamierają po krótkim i nędznym żywocie. Oto, nie brakowało im ani funduszów, ani prenumeratorów, tylko brak im było „odpowiedniego składu i kierunku redakcyjnego." A więc w społeczeństwie, które może wysadzić się na 50,000 pochód klerykalny w takim Lwowie, niema paru ludzi inteligentnych, którzyby mogli poprowadzić dziennik katolicki.

Daleki.

Abolicyonizm i literatura niemoralna.

W ostatnich dniach ubiegłego miesiąca odbył się w Dreznie kongres abolicyonistów. Ruch ten, dążący do rozwiązania tak ważnej i bolesnej sprawy, jak prostytucya, w r. 1875 zorganizował się pod wpływem usilnych starań Angielki, Józefiny Butler, w federacyę międzynarodową, której członkowie zbierają się raz do roku na konferencye, a kongresy urządzają co trzy lata. Pod hasłem *jednakowa moralność dla kobiety i dla mężczyzny* zwraca się związek przedewszystkiem przeciw t. zw. reglamentacyi, tj. prostytucyi uznanej przez państwo, jako pogwałceniu prawa równości w stosunku do kobiety, skazanej urzędownie na hańbę i poniewierkę dla zadowolenia rozpasanych instynktów mężczyzny. W tym celu jedyne źródło zmiany widzi federacya w reformach, sięgających do dna urządzeń społecznych, wogólnem podniesieniu poziomu ekonomicznego i kulturalnego.

Walkę na tem podłożu przyszłości prowadzą przedewszystkiem kobiety. Jednak zdają one sobie doskonale sprawę z tego, że bez współudziału mężczyzn zadania przeprowadzić nie zdołają. I trzeba przyznać, że najszlachetniejsze i najczystsze jednostki z rodu męzkiego umiały pozyskać dla swej idei.

Na kongresie drezdeńskim zdawano sprawę z rozwoju ruchu i przeszkód, jakie na swej drodze spotyka. Pani dr. Scheven wytknęła ostro wrogie stanowisko wobec działalności związku sfer urzędniczych w Niemczech, opór lekarzy, obojętność inteligencyi, złe stosunki społeczne i polityczne. Jako konieczny cel usiłowań wskazała ponownie nieodzowność walki z rajfurstwem, tępienie handlu dziewczętami, a w dalszym ciągu włożenie na mężczyzn większej odpowiedzialności obyczajowej oraz prawnej, wzmocnienie siły odpornej społeczeństwa przez zaprowadzenie gruntownych reform i zwalczanie hypokryzyi obyczajowej. Zdaniem pani Maryi Schritt z Drezna wszelkie policyjne środki zapobiegawcze, wszelkie kary ochronne pożądanego rezultatu nie przyniosą, dopóki nietkniętem pozostawiamy samo źródło złego, dopóki kobieta ekonomicznie, społecznie, prawnie i politycznie zależną będzie od mężczyzny, dopóki istnieć będzie niegodny zwyczaj tolerancyi dla rozwiązłości męzkiej i bezlitosnego, nieludzkiego traktowania kobiety upadłej. Panna Pappritz z Berlina, opisując stosunki w szpitalach berlińskich dla wenerycznie chorych kobiet, nazwała je „domami niedoli, więzieniami bez należytej opieki." Nie zapomocą reglamentacyi, lecz tylko przez ludzkość i sprawiedliwość, drogą przekształceń społecznych, oraz uszlachetnionych metod wy-

chowania można zwalczać prostytucyę. Wśród wielu wniosków praktycznych, mających na względzie zapobieżenie rozszerzaniu się chorób wenerycznych, pani Emma Pieczyńska z Berna zwróciła uwagę na niebezpieczeństwo przymusowych oględzin lekarskich, proponowanych dla wszystkich chorych, które mogłyby łatwo dać pole do wielu nadużyć, szkodliwych w zasadzie dla celów abolicyonizmu.

W pewnem pokrewieństwie duchowem z powyższą działalnością były obrady kongresu w Kolonii, także międzynarodowego, przeciw literaturze niemoralnej. Przewodniczący, znany ze swej ruchliwości ksiądz Weber, przeczytał zebranym list profesora Hilty z Berna, w którym tenże oświadcza, że dopóki Zola, Maupassant, Liliencron, Nietzsche będą mieli wśród czytających uznanie, dopóki cześć dla Goethego objawiać się będzie w tak mało umiarkowany sposób, dopóty walka z literaturą niemoralną żadnego rezultatu dać nie może.

Prokurator Kitz z Kolonii udzielił kongresowi ciekawych informacyj, co do nadzoru nad tego rodzaju wydawnictwami. Powierzono go prokuratoryom trzech miast: Kolonii, Poczdamu i Frankfurtu. Prokuratorya kolońska czuwa nad wydawnictwami, przybywającemi z Holandyi, Belgii, Luksemburga i Stanów Zjednoczonych, frankfurcka — nad wydawnictwami Szwajcaryi, Włoch, a poczdamska — z innych krajów. Szczególna uwaga zwrócona jest na Francyę, której produkcye literackie wraz z węgierskiemi najczęściej podlegają zakazowi. Te trzy prokuratorye w ciągłych pozostają stosunkach, informują się wzajemnie i raz do roku składają w tej materyi sprawozdanie z swych czynności ministrowi sprawiedliwości. Minister zaś zawiadamia naczelnika poczt, który znów ze swej strony rozsyła spis rzeczy zakazanych do wszystkich zarządów pocztowych i kolejowych. Ten sposób nadzorowania nad umysłowemi rozrywkami ogółu, wprowadzony w 1895 r., zaraz w pierwszych 10 miesiącach wykazał swą skuteczność konfiskatą wielu przesyłek w broszurach, fotografiach, nawet katalogach.

W roku przyszłym, według zapowiedzi kongresu, z zaproszenia Szwajcaryi ma się odbyć konferencya rządów w celu walki z literaturą niemoralną. Kongres koloński postanowił wyznaczyć komisyę międzynarodową dla opracowania w tej sprawie memoryału do wręczenia dyplomatom.

Tego rodzaju opieka może być pożyteczną, lecz należy obawiać się, aby fanatyzm, tak wyraźnie objawiający się w zapatrywaniach profesora Hilty, nie przyniósł więcej szkody, niż dobrego. W traktowaniu człowieka, jak dziecko, które jedynie zakazami od skrzywdzenia zabezpieczyć można, trudno widzieć radykalny sposób umoralnienia ludzkości; tembardziej że się ją przez to odsuwa od wielu źródeł najwyższej rozkoszy duchowej.

FEJLETON.

PAMIĘTNIK

Piekło wojny.

Jakkolwiek wszystkie wojny budziły przerażenie, zdaje się, że obecna sieje największą trwogę. Zarówno doniesienia korespondentów, jak opowieści rannych żołnierzy, którzy powrócili z pola bitwy, powtarzają ustawicznie jeden wyraz: piekło. Wrażliwsi dostają ataków nerwowych lub obłędu. „Trudno sobie wyobrazić coś okropniejszego — mówił do współpracownika *Nowosti* psychiatra petersburski, dr. Czeczott. — Czytaj pan: ziemia była przesiąknięta krwią, ludzie wyglądali, jak obłąkani. Sądzę jednak, że ci ludzie nie „wyglądali, jak obłąkani," lecz istotnie postradali zmysły. Jestem prawie pewny, że zatracili świadomość wszystkiego, co się naokoło nich działo, nie słyszeli ani huku dział, ani jęku rannych. Co więcej, nie odczuwali bólu ran, głodu i pragnienia, niczego, prócz żądzy krwi, niszczenia i mordowania nieprzyjaciela." Ale to niszczenie i mordowanie, ta zaciekłość walki objawiała się zawsze, więc dlaczegóż obecne „piekło" jest okropniejsze od poprzednich? Zdaje się, że śród wielu przyczyn na zwiększenie grozy wpłynęło także udoskonalenie środków technicznych wojny. Tegoczesne torpedy, miny, bomby, szrapnele, fugasy, armaty mechaniczne są tak straszne i morderce, że obok niebezpieczeństwa wytwarzają one galeryę piekielnych obrazów, których huku i blasku nie mogą wytrzymać najmocniejsze nerwy. Jeżeli nawet pocisk nie zabija, to ogłusza, oślepia, w szał wpędza. *g.*

Jęk totalizatora.

Jest rzeczą bardzo zawodną ufać doniesieniom naszych dzienników, które umieją bogatą prostytutkę nazwać w nekrologu „zacną matroną," a lichwiarza „szanownym obywatelem kraju." Więc nie jesteśmy pewni, czy rzeczywiście totalizator na polu wyścigowem robił w tym roku tak małe obroty, że zamknął jedną budę. Któreś z pism posuwa się nawet do przepowiedni, że „wkrótce pozostanie po nim tylko wspomnienie." Coś tam przecież musiało się popsuć w interesach naszej uprawnionej rulety. Ale nie dlatego, „żeśmy zmądrzeli." Poprostu nie gramy w totalizatora, bo nie mamy na stawki. Przesilenia ekonomiczne sięgnęły do wszystkich kieszeni, z każdego wzięły haracz, niema na hazardowne rozrywki, bo ledwie starczy na chleb i buty. Ale poczekajcie, niechno wojna przeminie i dochody wzrosną, wrócimy do totalizatora tłumnie i odrobimy zaległe w nim prace. Że zaś animuszu nam nie brak, dowodem opisany w gazetach celny strzał z rewolweru do brylanta w pierścionku. Społeczeństwo, w którem bodaj tylko jednostki umieją się tak bawić w chwili, kiedy przed niemi otwiera się bezdenna przepaść nędzy, zawsze dostarczy klientów totalizatorowi. Niepotrzebnie on martwi się i płacze. *h.*

Nagle.

Kalenbach! Kalenbach! Niech żyje Kalenbach! Portret Kalenbacha, życiorys Kalenbacha, wspomnienia o Kalenbachu, rozmowa z Kalenbachem — od paru tygodni. Siedział sobie nasz bohater w bibliotece Krasińskich, pracował, nie zajmując uwagi ogółu, i jak gdyby niedostrzeżony przez prasę. Nagle porwano go i zaczęto rzucać w górę. Dlaczego? P. Kalenbach został mianowany profesorem historyi literatury w uniwersytecie lwowskim. Tylko? A to mało? To przecież więcej, niż ukończenie politechniki w Darmsztadzie (koniecznie) *cum eximia laude*, wybór do komitetu Towarzystwa kredytowego lub 25-letni jubileusz mieszkania w jednym domu. Nasze dzienniki, jak prawdziwe ogary: polują tylko na to, co jest „bieżące," a gdy zapuszczą zęby w taką zwierzynę, nie mogą ich z niej wydobyć. Można przysiądz, że skoro p. Kalenbach pojedzie do Lwowa, przez kilka lat żadne pismo o nim nie wspomni, chociażby jak najbardziej swemi pracami na to zasłużył. Przestanie być „bieżącym" — czyli jak się teraz mówi w Warszawie — aktualnym. *d.*

Niezawodny środek.

Znowu podniesiono publiczne skargi na zuchwalstwo stróżów. Tu jeden z nich dla igrzyska oblał kogoś wodą z sikawki, tam drugi obił przechodnia, tam trzeci nawymyślał itd. „Należałoby ukrócić samowolę cerberów" — czytamy w zażaleniach. Ale jak ukrócić? Otóż my posiadamy niezawodny środek: trzeba im wyjaśnić, że są zależnymi od swych gospodarzów oficyalistami. I zuchwalstwo zaraz zniknie. *n.*

Światło pod korzec!

„Czy nie za dużo?..." — zawołał *Goniec*, ubolewając, że po upływie dziesiątków lat zupełnej martwoty powstało w Warszawie kilka szkół rysunków i malarstwa. „Jedna a dobra, wyposażona odpowiednio w siły nauczycielskie i w środki pomocnicze, stanowczo więcejby zdziałała i więcej przyniosła korzyści — zdaniem *Gońca* — aniżeli pół tuzina szkół takich, borykających się z trudnościami na każdym kroku..." — a porównywając szkoły artystyczne z kilku sklepikami na tej samej ulicy, pan M. rzuca frazes, że „chyba w całym Paryżu niema tylu szkół rysunków i malarstwa."

Możemy pana M. zapewnić, że w Paryżu obok zakładów rządowych, jak Szkoła sztuk pięknych, szkoła dekoracyjna, szkoła główna sztuk i rzemiosł, jest wiele akademij prywatnych, że wymienię choćby potężną „akademię Julian'a." Obok niej jest cały szereg względnie mniejszych, choć liczących po kilkuset studentów.

Takie drobne, na skalę warszawską obliczone szkoły, gdzie cyfra uczących zaczyna się od kilkunastu i bardzo rzadko dochodzi do setki lub półtorasta, giną w powodzi wielkiego miasta i można je wyłowić jedynie z książek adresowych. Po za tem zarząd miasta i stowarzyszenia dla krzewienia wiedzy urządzają mnóstwo bezpłatnych kursów dziennych i wieczornych, dostępnych dla wszystkich, gdzie można studyować od rysunku elementarnego do malowania i rzeźbienia z natury. Studya nad sztuką stosowaną i kursy rysunków technicznych są dla wszystkich dostępne. W muzeum Luwru urządzone są bezpłatne wykłady nauk, łączących się ściśle z wykształceniem artystycznem. Studentów i studentek, kształcących się na artystów, liczy Paryż kilkanaście tysięcy, studyujących tę lub inną gałąź sztuki stosowanej jeszcze więcej, a poznanie rysunków i modelowania w zakresie średnim, jako przedmiot niezbędny dla każdego człowieka, bez względu na jego zawód, obowiązuje całą młodzież, która tylko wyjątkowo tych studyów nie przechodzi.

Słysząc *Gońca* (i niektóre pisma), tak żarliwie broniącego interesów „pierwszego sklepiku," zapytalibyśmy go, czy w dziennikarstwie należy się też tą samą zasadą kierować? W takim razie dlaczego powstają nowe dzienniki, mimo że już kilkanaście dawnych istnieje, a niektóre z nich ledwie dyszą? Zapewne dlatego, że te nowe pisma chcą być trybuną nowych kierunków i obroną takich idej, którym dotąd nigdzie nie dawano głosu. Otóż szkoły artystyczne, o ile są odpowiednio kierowane i prowadzone, mają podobne zadania. Każda z nich jest taką samą świątynią sztuki, jak gazeta trybuną pewnych przekonań, i w każdej cokolwiek inaczej pojmują ten kult i odmiennemi ścieżkami prowadzą do tego nieznanego celu, jakim jest Piękno...

Wszystkie istniejące u nas szkoły artystyczne musiały starać się o zatwierdzenie władzy i wszystkie mają podobny program. Co do zakresu w studyach, niema między niemi ani wyższych, ani niższych, a wartość ich zależy wyłącznie od doboru kierowników.

Czy grono ludzi zamożnych złożyło się na zapłacenie komornego i zapewnienie

pensyj nauczycielom, czy też ci ostatni dają swą pracę, nie żądając od nikogo takich gwarancyj, w przekonaniu, że dobra szkoła zawsze potrafi zgromadzić dostateczną liczbę uczniów, to również stanowi kwestyę organizacyi wewnętrznej. W uniwersytetach zagranicznych wiele katedr utrzymuje się z opłat studentów, składających się na wynagrodzenie profesora. Największe powagi naukowe pracują w ten sposób bez pensyi.

Jeśli społeczeństwo gromadzi specyalne fundusze, to chyba głównie dlatego, żeby zapewnić naukę tak biednym, jak zamożnym. Uwalnianie przeto od wpisu pewnej liczby uczniów (do 20%) jest obowiązkiem, przewidzianym ustawą dla szkoły subwencyonowanej, gdy toż samo dla szkoły niezależnej jest aktem dobrej woli i uczynkiem obywatelskim.

Każda ze szkół, istniejących w Warszawie, jeśli spełnia swe zadanie sumiennie, zasługuje na jednakowe poparcie. Wołanie o szkodliwości trzech sklepików na jednej ulicy bywa najczęściej głosem jednego ze sklepikarzy. Publiczność jednak nie ma zwyczaju martwić się istnieniem trzech sklepików, gdyż jest wtedy lepiej obsłużona i ma większy wybór. Jeżeli mamy stosowac aluzyę o sklepikach do szkół artystycznych, to jedynym *towarem tam sprzedawanym* jest mniej lub więcej umiejętne kierownictwo w studyach artystycznych. Czy szkół będzie dużo, czy mało, to nie zmieni jakości tego towaru. Dobry nauczyciel zawsze potrafi zgromadzić koło siebie grono uczniów; im ma ich mniej, tem dla uczniów korzystniej; możnaby się tylko obawiać zupełnego zaniechania wykładów ze strony nauczyciela.

Łatwo odczuć tendencyę tych wszystkich zabiegów i artykułów o zbytniej ilości szkół artystycznych w Warszawie.

Jest to najpoczciwsza w gruncie chęć dopomożenia świeżo powstałej Szkole Sztuk Pięknych. I my jej życzymy jak najpomyślniejszego rozwoju, lecz nie widzimy potrzeby monopolizowania i zacieśniania i tak już wązkiego korytka, jakiem u nas wiedza płynie.

Dobry może być monopol wódczany, jeśli ma na celu ukrócenie pijaństwa, ale w w sztuce, gdzie zawsze musimy dążyć do celu nikomu nieznanego, gdzie każdy powinien iść swą własną ścieżką, wszelkie monopole i przywileje byłyby zabójcze.

Kropka.

Położenie szwaczek

Pisma codzienne znowu poruszyły zawsze aktualną sprawę położenia szwaczek. Pomimo ciągłego rozprawiania w prasie, mało znamy położenie ludzi, pracujących w różnych rzemiosłach. Były projekty wywiadów; do dziś jednak żaden z nich się nie urzeczywistnił. Poprostu jak zwykle zapalono się do pomysłu, a potem — jak najprędzej zapomniano o nim. Ankieta taka mogłaby wyjaśnić wiele stron naszego życia ekonomicznego. Lecz do tego trzeba energii, chęci postawienia na swojem i umiejętności oryentowania się w stosunkach społecznych. O szwaczkach wiele się też wciąż czyta po kuryerkach w rubryce wypadków bieżących, spory ich procent zajmuje poczesne miejsce w statystyce samobójczyń, niemało leży po szpitalach, niejedna zostaje prostytutką. Mówi się wiele o upadku moralności wśród gminu i braku oświaty itd. Otóż, czy kto zwrócił uwagę na treść tych faktów i starał się zrozumieć ich psychologię. Ja sądzę, że należy oświetlić je położeniem ekonomicznem. Przyjrzyjmy się, jak to wygląda podług *Gońca* i *Kuryera Codz.* Szwaczki rekrutują się z najrozmaitszych sfer, bardzo często znajdują się między niemi córki rodziców podupadłych, niegdyś zamożnych, różne rozbitki życiowe, są i dziewczęta z ludu. Te pierwsze poczynają zajmować się krawiecczyzną, przeważnie w wieku dorosłym; ostatnie od lat najmłodszych. Dziewczynina taka zaczyna (jak każdy terminator) od posług w pracowni, biegania z posyłkami. Systematycznej nauki szycia nie odbiera, uczy się dorywczo. Po pewnym czasie awansuje na podręczną i z płacą 2—3 rb. miesięcznie zostaje specyalistką (spódniczarką, rękawiarką, staniczarką itd.). Po bardzo długim czasie taka specyalistka dochodzi do 15 rb. miesięcznie. Rzadko która z nich zna dobrze swój fach. Co do warunków pracy: dzień roboczy nominalnie trwa od 9 rano do 7 wieczorem; w rzeczywistości jednak w tak zwanym sezonie znacznie dłużej — bez osobnej dopłaty (z małymi bardzo wyjątkami). Pracownia, to ciasny pokój, źle wentylowany, byle jak oświetlony. Nikt tu o takie „drobnostki“ nie dba.

Właścicielki różnych pracowni użalają się na niesumienność pracownic. Nawet gdyby przyznac im racyę, czyż nie prawie zawsze one same temu winne?

Zupełnie słusznie pisze *Goniec*: „Unormowanie godzin pracy magazynierek, zapobieżenie wyzyskowi, opartemu na bierności nieszczęśliwych pracowników stanowi sprawę doniosłego znaczenia. Powinna się nią zająć istniejąca przy Towarzystwie popierania przemysłu i handlu delegacya kobieca.“

Sądzę, że wiele pomódz mógłby wywiad sumiennie przeprowadzony, któryby dał materyał umożliwiający zoryentowanie się w położeniu i wypracowanie planu działania.

br.

O poczekalnie dla robotników.

Kwestyę tę podniósł jakiś prenumerator w *Gońcu*. Wiadomo, jak różni majstrowie sypią karami pieniężnemi za spóźnianie się. Otóż robotnicy wychodzą zwykle wcześniej z domu, aby nie przyjść po rozpoczęciu pracy. Przychodzących zawcześnie nie wpuszczają do fabryki. Muszą więc wyczekiwać nieraz po pół godziny przed bramą. Deszcz lub śnieg pada, wiatr chłodny dmie. Panowie inżynierowie i fabrykanci troskliwsi są w takich razach o swoje konie i psy, niż o ludzi na nich pracujących. Słusznie ów prenumerator nawołuje do urządzenia poczekalń w budynkach ogrzewanych. Czy jednak zarządy fabryczne to uczynią? — śmiem wątpic. Przecież to nie podniesie dywidendy.

f.

BADANIA NAUKOWE.

E. HAECKEL.

—

Dziwy życia.

Pod tym tytułem („Die Lebenswunder“) ma się ukazać w bieżącym miesiącu najnowsza praca sędziwego uczonego, E. Haeckla. Ma być ona uzupełnieniem jego znanych „Zagadek wszechświata“ („Die Welträthsel“). Podajemy przekład kilku przez *Zukunft* ogłoszonych z niej wyjątków, kierując się myślą, że dla naszych czytelników nie mogą być obojętnemi zapatrywania tak zasłużonego w nauce człowieka, jakkolwiek i one — jak wszystko zreszta — mogą ulegać krytyce.

Red.

Wyjątek z przedmowy.

W kwietniu 1903 r. w wydaniu ludowem moich „Zagadek wszechświata“ odpowiedziałem krótko na kilka najostrzejszych zarzutów, z którymi się to dzieło spotkało. Uważałbym za całkiem niepotrzebne rozwijać dalej tę polemikę lub odpowiadać na większe artykuły polemiczne, które się w tym czasie ukazały. Chodzi tu bowiem o te głębokie, do usunięcia niemożliwe sprzeczności pomiędzy Wiedzą a Wiarą, pomiędzy prawdziwem poznaniem natury a t. zw. objawieniem. Cały mój monistyczny pogląd na świat opieram jedynie na przeświadczeniu, które zdobyłem, badając niezmordowanie przez pół wieku przyrodę i jej prawa. Moi przeciwnicy, wyznający dualizm, przypisują temu doświadczeniu wartość bardzo ograniczoną i chcą go podporządkować tworom fantastycznym, które zrodziła wiara w jakiś nadprzyrodzony świat duchów. Uczciwie i bezstronnie pogodzić tych oczywistych sprzeczności niepodobna: jedno z dwojga, albo poznanie przyrody i doświadczenie, albo urojenia wiary i objawienie.

W r. 1899 w przedmowie do „Zagadek“ powiedziałem, że pracą tą zamierzam zakończyć swe studya w dziedzinie monistycznego poglądu na świat i że „jako prawdziwe dziecko XIX stulecia pragnę wraz z jego końcem pracy życia mojego kres położyć.“ Jeżeli obecne moje wystąpienie przeczy napozór tamtym słowom, to proszę tylko zważyć, że dzieło niniejsze o „dziwach życia“ stanowi niezbędne uzupełnienie bardzo dziś rozpowszechnionych „Zagadek wszechświata“ i że do jego napisania wprost zobowiązały mnie wielokrotne pytania i prośby współczujących mi czytelników. Zarówno w tem, jak w tamtem dziele postawiłem sobie za cel dać czytelnikowi ogólny a zarazem zupełny obraz mojej filozofii monistycznej w tej dojrzałej — dla mnie osobiście — formie, której ona z końcem XIX wieku dosięgła. Taki obraz subjektywny nie może oczywiście mieć pretensyi do tego, aby był objektywnie doskonałym. Moja wiedza, jak wszelka zresztą, musi być niedoskonałą. I w tych więc „szkicach biologicznych“ mogę podać tylko prace bardzo nierównej wartości i niezupełnie wykończone; i tu jednak stawiam sobie szlachetne zadanie ujęcia w jedną całość ogólnego bogactwa zjawisk życia organicznego, objaśnienia wszystkich „dziwów życia“ ze stanowiska mojego monizmu konsekwentnego, jako objawów czegoś jedynego, wielkiego, jednolitego, co możemy nazwać naturą, światem, bogiem.

Dwadzieścia rozdziałów „Dziwów życia“ napisałem jednym zamachem w przeciągu czterech miesięcy, które spędziłem w Rapallo nad niebieskiemi wodami morza Śródziemnego. Cicha egzystencya klasztorna w tej cudnie położonej mieścinie dała mi możność raz jeszcze przemyśleć i poddać spokojnej ocenie wszystkie poglądy na życie, które wytworzyłem sobie przez tyle lat uczenia się i nauczania, zaczynając od początku mych studyów akademickich (1852) i następnej działalności pedagogicznej w Jenie (1861). Ożywiał mnie przytem ciągle widok morza Śródziemnego, które mi dostarczało przez 50 lat bogatego materyału dla studyów; zaś samotne wycieczki w dzikie wąwozy Apenin liguryjskich, podniosłe widoki ze skalistych, lasami otoczonych szczytów podtrzymywały we mnie poczucie tej wielkiej jedności matki-natury — poczucie, które w pochłaniającej pracy laboratoryjnej zbyt łatwo odchodzi na plan ostatni. Z drugiej jednak strony okoliczności te nie pozwoliły mi uwzględnić najnowszej a tak przerażająco bogatej literatury biologicznej. Książka moja jednak nie ma być systematycznym „podręcznikiem biologii ogólnej.“ Przeglądając ją raz jeszcze latem w Jenie, musiałem poprzestac na krótkich uzupełnieniach i poprawkach...

Podczas tegorocznego pobytu mego w Rapallo skończyłem dnia 16 lutego lat 70; otrzymałem skutkiem tego ogromną

ilość powinszowań, listów, depesz, kwiatów i innych upominków; przeważna ich część pochodziła ze wszystkich końców świata, od nieznanych mi osobiście czytelników moich „Zagadek.“ Jeżeli do któregokolwiek z nich nie doszedł mój list dziękczynny, niech mi będzie wolno raz jeszcze na tem miejscu wypowiedzieć moją serdeczną wdzięczność. Rad byłbym wielce, gdyby właśnie moje „Dziwy życia“ zechciano uważać za wyraz mej wdzięczności, za literacki z mej strony upominek.

Wrażenie nieorganiczne i organiczne.

Nasz monistyczny pogląd na świat — obojętnem jest, czy będziemy go rozumieli jako energietykę, czy też materyalizm (raczej hilozoizm) — streszcza się w tem, że materya jest uduchowioną tj. uposażoną w energię. Analiza chemiczna materyi organizowanej sprowadza ją do tych samych pierwiastków, które wykrywamy w ciałach nieorganicznych; znajdujemy, że ruchy w świecie organicznym ulegają tym samym prawom mechaniki, co w świecie nieorganicznym; przekonywamy się, że przekształcenia energii tak samo się odbywają i wywołują przez te same czynniki zarówno w materyi żyjącej, jak w nieorganizowanej. Z tego już musimy wyciągnąć wniosek, że postrzeganie podrażnienia — wrażenie w sensie objektywnym, uczucie w subjektywnym — jest dla obu tych światów zjawiskiem wspólnem. Wszystkie ciała są w swoim rodzaju „wrażliwe“. — W tem właśnie energietycznem pojmowaniu materyi różni się zasadniczo nasz monizm od materyalizmu, który część „martwej“ materyi uważa za „niewrażliwą“. Tu jednak mamy most, który może połączyć konsekwentny materyalizm i realizm z konsekwentnym spirytualizmem i idealizmem. Oczywiście musimy tylko wymagać uznania tego założenia, że tak w świecie organicznym, jak nieorganicznym rządzą te same ogólne prawa przyrody. I tu jak tam świat zewnętrzny działa jako „podrażnienie“ na świat wewnętrzny każdego ciała.

Wrażenie materyi.

Ponieważ wszystkie objawy życia możemy w ostatecznej instancyi rozpatrywać, jako wysoce zawikłane procesy chemiczne, należy oczekiwać, że podrażnienia chemiczne grają rolę pierwszorzędną w tworzeniu się wrażenia. Tak też jest w istocie. Wszędzie od najprostszej monery do najbardziej zróżniczkowanej komórki, zarówno w kwiecie drzewa, jak tworzeniu się myśli ludzkiej — we wszystkich procesach życiowych działają siły chemiczne, zachodzą przekształcenia energii, dla których zewnętrzne lub wewnętrzne podrażnienia chemiczne stanowią pierwszą pobudkę. Postrzeżenie tego podrażnienia nazywamy „wrażeniem materyi“ lub „chemestezą“; podstawy działania należy szukać tutaj w t. zw. powinowactwie chemicznem. Decyduje tu natura samych pierwiastków, względnie szczególne własności składających je atomów; objaśnić to możemy jedynie przypuszczeniem, że atomy otrzymują wrażenia w szerszem tego słowa znaczeniu, że właściwemi im są swego rodzaju uczucia przyjemności i przykrości, których doznają przy zetknięciu się z innymi atomami („miłość i nienawiść pierwiastków“ Empedoklesa).

Niezliczoną rozmaitość podrażnień, które chemicznie działają na plazmę i powodują w niej „wrażenie materyi,“ możemy podzielić na dwie duże grupy: podraznień zewnętrznych i wewnętrznych. Ostatnie tkwią w samym organizmie i powodują wewnętrzne „wrażenia organów“; siedzibą pierwszych jest świat zewnętrzny, skutkiem zaś — wrażenia smakowe, węchowe, płciowe itd. Zwierzęta wyższe posiadają dla tych zewnętrznych podniet chemicznych specyalne „chemiczne narządy zmysłowe“; ponieważ te ostatnie są nam z własnego doświadczenia dobrze znane, a fizyologia porównawcza wykazuje istnienie tych samych ukształtowań u wyższych zwierząt, przeto rozpatrzymy je przedewszystkiem. Do tych zewnętrznych podrażnień chemicznych stosuje się toż samo prawo, co do podrażnień świetlnych i cieplnych; w ich stopniowaniu znajdujemy pewien „minimum“, jako granicę niższą dla ich działania, „maximum“, jako granicę wyższą i „optimum,“ kiedy działanie to jest najsilniejsze.

Wrażenie smakowe.

Wiadomo, jak ważną rolę w życiu człowieka gra zmysł smaku i połączone z nim uczucie przyjemności. Staranny wybór i sporządzanie smacznych potraw (rozwinęła się z tego sztuka gastronomii, ba, nawet powstała specyalna gałąź filozofii praktycznej — gastrozofia) stanowiły czynność tak samo ważną przed dwoma tysiącami lat, jak w czasach obecnych. Dobre usposobienie, które się wytwarza przez wyrafinowane kombinacye rozmaitych smacznych potraw i napojów, które w toastach i mowach znajduje swój wyraz retoryczny, posiada źródło w harmonii wrażeń smakowych, w tych kolejnych podrażnieniach, które różne „delikatne“ potrawy i napoje wywołują w organach smaku: języku i podniebieniu. Mikroskopijne organy tych części jamy ustnej są to brodawki smakowe, utwory kielichowate, wyłożone wrzecionowatemi komórkami smakowemi i wązkim otworem skierowane do jamy ustnej. Wrażenie smaku powodowane jest przez podrażnienie zakończeń nerwów smakowych w chwili, gdy płynne lub rozpuszczalne substancye smakowe dotykają smakowych komórek. Ponieważ widzimy, że większość zwierząt wyższych posiada taką samą lub podobną budowę jamy ustnej i starannie wybiera sobie pożywienie, możemy wyciągnąć stąd pewny wniosek, że doznają one podobnie, jak człowiek, wrażeń smakowych. Nie można tego twierdzić o wielu niższych zwierzętach, gdyż zmysły smaku i powonienia nie dają się tam wyraźnie od siebie oddzielić.

Wrażenie węchowe.

U człowieka i wyższych kręgowców, żyjących w powietrzu, organem węchu jest jama nosowa, u człowieka zaś specyalnie ta część błony śluzowej, wyściełającej wnętrze nosa, która posiada miano okolicy węchowej (regio olfactoria — górna część przegrody nosowej, muszla górna i środkowa). By mogło powstać wrażenie zapachu, substancye pachnące muszą się przenosić w stanie jak najsubtelniejszego rozpylenia nad wilgotną błoną śluzową. Gdy te drobniutkie cząsteczki dotykają pręcikowatych komórek węchowych, zakończonych niezmiernie delikatnymi włoskami węchowymi, zostają podrażnione połączone z tymi ostatnimi zakończenia nerwu węchowego. W życiu wielu zwierząt, a mianowicie ssących, zmysł węchu gra daleko donioślejszą rolę, niż u człowieka, u którego jest on względnie słabo rozwinięty. Wiadomo, że psy, zwierzęta drapieżne, a także kopytowe mają węch o wiele subtelniejszy. Jama nosowa, która jest siedzibą tego zmysłu, jest u tych zwierząt większą i „muszle węchowe“ o wiele lepiej rozwinięte. Podwójna jama nosowa kręgowców, żyjących, w powietrzu, powstała z dwóch odsłoniętych wgłębien nosowych kręgowców wodnych. U tych ostatnich procces chemiczny podrażnienia węchowego musi być innego rodzaju, a mianowicie wrażenia węchowe muszą być zbliżone do smakowych, gdyż tu wchodzą w zetknięcie z błoną śluzową substancye w stanie płynnym (u człowieka substancye wonne w tym stanie nie wywołują wrażenia zapachu). Wogóle u zwierząt niższych zaciera się zupełnie granica pomiędzy zmysłami smaku i węchu: oba te „zmysły chemiczne“ są tam bardzo spokrewnione, a ich cechę wspólną stanowi bezpośrednie działanie chemiczne podniety na wrażliwe miejsce skóry.

Wrażenie smakowe u roślin.

Istnienie chemicznego odczuwania materyi, odpowiadającego w zupełności prawdziwym wrażeniom smakowym zwierząt wyższych, daje się stwierdzić u niektórych wyższych roślin mięsożernych. Liście rosiczki są to bardzo czułe pułapki na owady; posiadają one na krawędzi lepkie włoski, zakończone kuleczkami, które wydzielają kwaśny sok, trawiący mięso. Gdy jakie ciało stałe — nie zaś kropla deszczu — trafi na powierzchnię liścia, liść się zamyka; lecz jedynie wtedy, gdy to obce ciało zawiera azot (mięso, ser), główki macek wydzielają kwaśną ciecz, której funkcye odpowiadają w zupełności funkcyom soku żołądkowego u zwierząt. A zatem liść rośliny mięsożernej odróżnia pożywienie mięsne od innych ciał, dla rośliny obojętnych. W szerszem znaczeniu można również i zakończenia korzeni roślinnych nazwać „organami smaku,“ skierowują się bowiem one ku żyzniejszym miejscom ziemi, unikając miejsc biednych w pożywienie. U jednokomórkowych roślin i zwierząt ujawnia się działanie podniet chemicznych wtedy zwłaszcza, gdy one działają na organizm jednostronnie i wywołują określone ruchy w tym jednym kierunku (Chemotaxis).

Ruchy organizmów jednokomórkowych, wywołane przez podrażnienia chemiczne i znane pod nazwą chemotropizmu, są zwłaszcza z tego powodu ciekawe, że pozwalają dostrzedz u najniższych organizmów, ba, nawet w jednorodnej plazmie moner istnienie wrażeń zmysłowych natury chemicznej, zbliżonych do wrażeń smakowych i węchowych. Wielokrotnie powtarzane doświadczenia W. Engelmanna, M. Verworna i innych wykazały, że wielu bakteryom, okrzemkom, wymoczkom, korzenionóżkom i innym pierwotniakom nie są obcemi swego rodzaju wrażenia smakowe; poruszają się one w kierunku niektórych kwasów (np. kropli kwasu jabłkowego) lub pęcherzyka tlenu. Wiele bakteryj chorobotwórczych wydziela substancye trujące, wysoce szkodliwe dla organizmu ludzkiego. Ruchliwe, białe ciałka krwi ludzkiej, t. zw. leukocyty, „smakują“ poniekąd w tych substancyach trujących; przy pomocy swych ruchów amebowatych skierowują się one ku tym miejscom organizmu ludzkiego, gdzie te substancye się wydzielają, i pożerają bakterye. Jeżeli leukocyty zwyciężą, organizm ludzki zostaje uratowany; gdy jednak bakterye są silniejsze, zostają one przez te same białe ciałka krwi przeniesione w inne okolice organizmu i mogą spowodować zakażenie śmiertelne; i one poznają plazmę leukocytów, że tak powiemy, „po smaku.“

Chemotropizm erotyczny.

Szczególnie ciekawy i ważny rodzaj podrażnienia chemicznego znajdujemy we wzajemnem przyciąganiu się komórek płciowych, co już przed trzydziestu laty oznaczyłem mianem chemotropizmu erotycznego i podkreśliłem, jako najstarsze filogenetyczne źródło miłości płciowej (Anthropogenie, 1874). Zjawisko zapłodnienia, stanowiące najważniejszy moment rozmnażania się płciowego, polega na zlaniu się dwóch różnych komórek: komórki jajowej i ciałka nasiennego. Owo zlanie się nie mogłoby mieć miejsca, gdyby te komórki nie „odczuwały“ swej odrębności chemicznej i nie posiadały skłonności do połączenia się. Podobne powinowactwo płciowe spostrzegamy już na najniższym poziomie życia roślinnego, u pierworośli i wodorostów. Tu

często obie komórki są ruchome i płyną ku sobie, aby się połączyć — mniejsze (męzkie) mikrogamety i większe (żeńskie) makrogamety. U wyższych roślin i zwierząt ruchome bywa zazwyczaj tylko małe ciałko nasienne, dąży ono ku dużej, nieruchomej komórce jajowej, aby się z nią zlać. Działa tu „wrażenie" natury chemicznej, pokrewne wrażeniom smakowym i węchowym. Dowiodły tego piękne doświadczenia Pfeflera, który wykazał, że męzkie, biczykowate komórki paproci przyciągają się przez kwas jabłkowy, takie same komórki mchów — przez cukier trzcinowy, zupełnie tak samo, jak przez wyziewy komórki jajowej. Na tym samym chemotropizmie erotycznym opiera się zapłodnienie u wszystkich wyższych organizmów.

Przełożył *S. K—i.*

LITERATURA I SZTUKA.

JERZY RODENBACH.

Dusza poety jest skarbnicą świata; kryje się w niej najcichsza, najgłębsza treść jego, znajdują echo wszelkie ludzkie westchnienia, pragnienia, wzloty i męczeństwa. Poeta skupia w sobie i potęguje to, co całe zastępy jednostek, całe masy czują nieświadomie, półświadomie, czy świadomie. Każdy człowiek ma swą własną tajemnicę, ma swój świat zaczarowany; w tym świecie znajduje swe słowo każdemu wrodzone dążenie do nieokreślonego celu; w nim jest przystań— tęsknota, piętno życia nieśmiertelnego na czole człowieka wygnańca. W miarę jak się świat coraz bardziej komplikuje, tęsknota, budując wciąż nowe gmachy, rośnie i olbrzymieje. U zwykłych zaś marnotrawców życia—gaśnie ona i ledwie tli się na dnie duszy.

Ta właśnie treść uczuciowa człowieka dochodzi do potęgi twórczej w duszy poety. Jego czucie indywidualne bije w takt pulsu tych ledwie ruszających się jaźni. Poeta uchyla drzwi do swej samotnej pustelni i światło innych dusz nadaje wnętrzu oświetlenie i wyraz. W świecie zewnętrznym znajduje on odpowiednik swej treści; często to promieniowanie ducha poety sięga daleko po za ludzi, przechodzi na morza, pola, góry, łąki, miasta; jednoczy się z martwą (dla naszych oczu) naturą, z zamarłymi pomnikami trudu ludzkości.

Niesłychanie zwartą łączność duszy poety z pewnym znakiem zewnętrznym możemy „sprawdzić" na stosunku J. Rodenbacha do miasta Bruges.

Niedaleko od brzegu morskiego, wśród flamandzkiej równiny, leży prastare miasto. Zwie go poeta Bruges la morte — miasto umarłe. Wśród gwaru dzisiejszego, wśród wrzawy, ruchu i łoskotu zdaje się ono należeć do innego świata. Jest jak pieśń dawnych, odległych czasów. Niewysokie o ostrych dachach domy, dziwnie jednolite w swym wyrazie architektonicznym, wązkie, czyste ulice, niewielkie, lecz pełne uroku place, gdzie znać dawne życie, kościoły o surowych formach zewnętrznych i dziwnym, przejmującym półmroku wnętrza — wszystko to łączy się w jedno i nadaje miastu czar, obcy bezmyślnym środowiskom współczesnym. Między domami, zda się, pogrążonymi w wieczystym półśnie, ciągną się kanały wody czystej, ciemnej. A z nich najcudniejszy — Minnewater, wiecznie marzący o dawnem, wielkiem upojeniu; drzewa nad brzegami szeleszczą żałośnie; od czasu do czasu przesuwa się dumnoszyi łabędź, bez echa poruszając senne fale. Wszędy jakaś zaduma, jakiś smętek — mgła melancholii.

To znów w pobliżu beguinage — półklasztorny przybytek samotnych kobiet. Wchodzi się po moście, przez wązką bramę, później — szeroki dziedziniec. Pamiętam, byłem tam późnym wieczorem. Drzewa, stojące pośrodku, układały się do snu. Trawa szemrała pacierze. Gdzieniegdzie w małem okienku tliło się światło; większość ich była już pogaszona. Całość wywierała dziwne wrażenie. Coraz bardziej czerniejący mrok okrywał wszystko. W powietrzu unosiła się pogodnie smętna zaduma. Tu najsilniej przemawiała dusza Rodenbacha, pełna harmonii słodkiej melancholii.

Wśród gmachów uderza szpital św. Jana. Nie żeby czem wyróżniał się od innych, lecz w szpitalu tym znajduje się dar poety-malarza, prawziastuna uczucia w malarstwie, Hansa Memlinga. Memling i Rodenbach, to ta sama zaduma mgły, unoszącej się nad płaszczyzną flamandzką. Tamten— bohater podań, mistrz o niewysłowionej prostocie i głębokości uczucia — i to dziecię późnych czasów, zmęczone współczesnością i cofające się w ciszę starych domostw, aby dumać samotnie i słuchać szeptu nieskończoności.

Poezya Rodenbacha znalazła najsilniejszy swój wyraz w krajobrazie północy. Poeta wyczuł w nim spokojną muzykę mgły i uśpionej wody. Krańcowe przeciwieństwo innego twórcy flamandzkiego — Verhaerena, ducha pełnego brutalnej siły i grozy północnego nieba, jest ona subtelną rośliną, miłującą łagodne światło i półmrok.

Wśród jasnego dnia szuka on cienia i ciszy, „gdzie słychać skargę życia, bo pomimo pragnienia wygnania, tworzymy sobie duszę współczującą, która utożsamia się ze skargą ulic miasta." Smętne uczucie lęku i tęsknoty wniknęło w młodą duszę z oparów, unoszących się nad kanałami, melodye żałosne szeptały mu bezludne, ciasne ulice miasta, wysokie sklepienia kościołów budziły żal i trwogę — za czem żal?

Rodenbach ma w sobie tę harmonię późnej jesieni, kiedy słońce przygrzewa jeszcze, a już złote liście spadają na ziemię, aby ją chronić od mrozu i chłodu, a drzewa, oddawszy pramatce w ofierze wszelkie swe ozdoby, stoją obumarłe, pochylone, drętwiejące wobec nadchodzącej męki. W powietrzu snuje się smutek boleściwy. Niby słońce się uśmiecha, niby niebo jasne, niby wszystko pogodne, a serce przejmuje obawa.

I dusza ludzka szuka spokoju. Spokój — państwo ciszy, le règne du silence — odmyka podwoje starożytnych komnat i baje wspomnienia o dawnych czasach; treść słów tych zaciera się i dochodzi tylko półdźwięk, echo subtelnego, delikatnego rytmu odległej piosenki. Słońce już zgasło. Ostatnie zabłąkane promienie chwytają się sprzętów, aby nie zniknąć; kontury szarzeją; w pokoju niby lekka mgła okrywa wszystko i kładzie się tumanem na duszy, wzmagając jej tęsknotę i budząc lęk.

Subtelnie miękka, wrażliwa dusza poety miłuje ciszę, bo w ciszy milknie wszelka wrzawa i poczynają mówić tajone przez jasny dzień moce duszy. Unika on wszelkich żywszych poruszeń, niecierpi brutalnych wybuchów, odtwarza trudno uchwytne nastroje, uczucia i myśli. W twórczości jego niema ponurych barw, wszystko wypełnia powściągliwość tonów.

Słowa płyną zwyczajnie, spokojnie z ulubioną przewagą wyrażeń abstrakcyjnych. Skala Rodenbacha nie sięga burz gwałtownych; wyłącznie obejmuje ona królestwo wewnętrzne, które leży po za kategoryami, ujmującemi świat zewnętrzny, po za warsztatem myślowym — na progu świadomości; są to ogólne nastroje duszy przesubtelnionej.

Czasem pojawi się treść nieco inna. Le Carilloneur, L'arbre, Bruges la morte. Opowiadania o dziejach ludzkich niepozbawione są bardziej żywszych wzruszeń uczuciowych. Powieści te wyodrębniają się wśród innych. Jest to obraz niezwykle zharmonizowany, o barwach przyćmionych i tonach małogłośnych. Namiętności pojawiają się w formie zmienionej — są one przysłonięte krepą-muślinem łagodzącym, stylizującym. Stylizowanemi są u niego wszelkie uczucia, postacie, krajobrazy.

Bruges jest wyrazem całego duchowego podłoża artysty. Najlepsze powieści to echo opustoszałych ulic, placów, kościołów, gdzie rozlega się uroczysty śpiew księży, groźnie i posępnie rozbrzmiewający wśród opustoszałych murów. Le carilloneur, to pieśń liryczna o chwale prastarego miasta i pięknie, zamierającem wśród groźnych pomruków teraźniejszości. Na tem tle wije się delikatna kanwa uczuć ludzkich i zetknięcie się żywszego porywu z cichą melancholią. Żywszy poryw psuje linię, łamie spokój (l'Arbre), jest wyłącznie siłą niszczącą. Uczucie zadumy i ofiarności bezbronnej gnie się i pełni służbę nabożną ciszy. Podobnym jest i drugi hymn liryczny — Bruges-la-morte. Te utwory to nie opisy lub odtwarzanie całości natury ludzkiej, lecz melodye jednego uczucia — szamotania się duszy, niestworzonej do życia ziemskiego i tęskniącej; jest to głos w zgiełku współczesnym zamierających cech głębin ducha.

Twórczość poety to odosobnienie miłującego piękno a nienawidzącego życia bieżącego. Oczy jego wpatrzone w duszę ludzką, jak w cichą wodę kanałów, widzą w niej półsenne drzewa i bez szelestu płynące łabędzie... Bo cała poezya jego to dusza „wygnana, pozbawiona tronu i niosąca skargę; pociechę jej daje życie w marzeniu." Więc modli się znękany: „O seigneur donnez-moi mon Rêve quotidien."

Taką jest twórczość Rodenbacha. Podnosi jej wielkość forma artystyczna, owa glina, oddająca plastykę muzyczną jego marzeń. Panuje w niej mistrzowskie wytrzymanie tonu. Utwory jego są, jak obrazy Memlinga, szczere, pełne serca i smętne. Niby jednostajne, lecz jednostajnością chwili „kiedy w duszy deszcz pada — nieokreślenie — monotonnie." Forma, zewnętrznie mało wyszukana, ma w sobie wewnętrzną subtelność i ukrytą melodyjność wiersza francuskiego. Obok piękna indywidualnego i czaru głębokiej a tęskniącej duszy są tu tony, właściwe całemu pokoleniu dzisiejszemu. I dlatego wśród współczesnych i nawet najmłodszych poetów ma piewca Bruges wielu bliskich sobie. Wspólną im jest niezbędność nowej twórczości dla nowej treści duszy. Zbyt są zagłębieni w wnętrze ludzkiego ja, aby mogli znaleźć nazewnątrz narzędzie odpowiednie do wypowiedzenia swych myśli. Wszelkie nadzwyczajności, wszelkie próby nowej techniki pozostawiają na uboczu. Nie gardząc wolnym wierszem, nie uganiają się za ciągłą nowością szaty zewnętrznej, lecz cały nacisk kładą na ukrytą melodyę dźwięków i prostotę słowa

Ta prostota nie jest bynajmniej pozbawiona kunsztowności, treści myślowej i uczuciowej kultury współczesnej, lecz harmonizuje ją, spaja w jedno i tworzy nową prostotę, inną niż poprzednie. Rozgoryczenie powszechne prowadzi młodych twórców do szukania samotności, umiłowali oni półmrok, gdzie w ciszy mogą się oddać kontemplacyi nad bezbrzeżnym oceanem ducha, nad cicho a dobitnie o brzeg świadomości uderzającym rytmem fal jego, wciąż nowe czyniącego podboje. Wszystkim wspólna jest tęsknota do przyszłości.

„Rani ich gwar“ i szukają spokoju — nie obezwładnienia, nowej siły, która zdala od przeciętnej banalności i wrzawy wiodłaby ich na zielone łąki duszy ludzkiej.

Wszystko, co drga uczuciem, jest im bratnie, wszystko, co ma w sobie ciche ukochanie — blizkiemi kochanem.

Zbigniew Brodzki.

Wiktor Brodzki.

[illegible]

Urodzony w gub. Wołyńskiej w 1825 r., zmarł w Rzymie d. 9 października r. bież. Skończył Akademię Sztuk Pięknych w Petersburgu ze złotym medalem, do którego przywiązane było stypendyum rzymskie. Pojechał więc na dalsze studya do Rzymu i tu osiedlił się na stałe. Z pracowni jego poszła w świat nieskończona ilość dzieł w marmurze i bronzie, które sławę jego imienia rozniosły szeroko. Klasyk w każdym celu, rozumiejący sztukę tylko według starożytnych tradycyj harmonii i piękności linii w rzeźbie, nie mógł oswoić się z nowymi kierunkami. Najgłówniejsze jego dzieła są: „Chrystus błogosławiący świat,“ Amor uśpiony w muszli“, „Spoczywający Adonis“, „Zefir“, „Ostatnie dni Pompei“ i wiele innych. Zostawił też mnóstwo pięknych popiersi, z których sporo znajduje się w kraju, jak: popiersie Kopernika, Sobieskiego, Batorego i innych. Tworzyć już przestał, w sztuce przeszedł do historyi od lat kilku. Był tylko jeszcze wspomnieniem żywem tego, co już było zamarło.

Z PRASY.

— *Nowoje Wremia* (nr. 10,257) umieściło następującą korespondencyę z Warszawy o szkołach początkowych w Królestwie Polskiem, podpisaną: „Russkij.“

„W memoryale, przed kilku laty złożonym generał-gubernatorowi warszawskiemu przez naczelnego redaktora komitetu statystycznego w Warszawie, profesora Simonenkę, stwierdzono, że w ciągu ćwierćwiecza od roku 1874 do 1894 liczba szkół początkowych w Królestwie Polskiem spadła w miastach z 31 na 27, a po wsiach z 21 na 19 w stosunku do tysiąca mieszkańców.

Według danych kuratora warszawskiego okręgu naukowego, w r. 1899, we wszystkich dziesięciu guberniach kraju ludność wiejska posiadała 4,571 szkół, w tej liczbie 1,153 chedery żydowskie, 313 szkół niemieckich itd., a tylko 1,178 szkół miejskich i 1,510 gminnych.

Dzieci w wieku szkolnym liczono po wsiach Królestwa Polskiego 993,000, uczęszczało zaś do szkół 177,000 uczniów i uczenic, czyli 17%.

Od r. 1899 stan szkolnictwa się nie poprawił. Liczba szkół wzrosła, lecz w stosunku bynajmniej nieodpowiadającym przyrostowi ludności, procent zaś dziatwy, uczęszczającej do szkoły, stał się jeszcze mniejszym.

Komisya senatora Podgorodnikowa w memoryale o szkołach elementarnych, wiejskich przyznaje, iż liczba uczniów nie odpowiada wcale wymaganiom państwowym oświaty ludu. „Zwiększenie liczby szkół — powiada komisya — napotyka tutaj poważne trudności zarówno w prawie, pozostawiającem inicyatywę zakładania szkół wyłącznie zgromadzeniom gminnym, jako też w szczególnych warunkach miejscowych. Cały szereg gmin nie posiada dotychczas wcale szkoły. Takich gmin było do niedawna pół setki, a trzecia ich część znajdowała się w gub. Radomskiej.

Kiedy zarządzał krajem feldmarszałek Hurko, przedsiewziął cały szereg środków, ażeby oświatę ludową podnieść w kraju na stopień właściwy, lecz środki te nie znajdowały poparcia miejscowej zwierzchności szkolnej, na której czele stał wtedy kurator ogręgu Apuchtin. Jednakże, dzięki naleganiom naczelnika kraju, zaprzestano praktykowanego w wielu szkołach wykładania religii katolikom przez nauczycieli prawosławnych lub luterańskich. Otwarto księżom dostęp do szkoły, lecz wykład języków był prowadzony po dawnemu, tak że kończący szkołę nie umieli ani po rosyjsku, ani też czytać po polsku.

Komisya przytacza cały szereg opinij, zaczerpniętych z raportów urzędników, stojących najbliżej ludności włościańskiej: komisarzy do spraw włościańskich — z raportów, nadesłanych w odpowiedzi na zapytanie generał-gubernatora, jakie środki należałoby ich zdaniem przedsiebrać, ażeby podnieść poziom oświaty w kraju.

Komisarze stwierdzają, że włościanie zachowują się wogóle życzliwie wobec szkoły, lecz niepokoi ich i powściąga myśl, że trzeba będzie płacić składkę na szkołę. Uskarżają się też włościanie na to, że dziatwa nie uczy się w szkole tego, co jest w życiu włościanina nieodzownem; boli ich to, że ksiądz jest odsunięty od szkoły i że nauka języka polskiego jest tak niedbale prowadzona, iż dzieci nie mogą swobodnie modlić się z książki. *Głównymi przeciwnikami przekształcenia szkół wiejskich na gminne są właściciele ziemscy i obywatele — Niemcy*, ponieważ w takim razie muszą płacić na utrzymanie szkoły, dla nich całkiem zbytecznej.

Komisarze zalecają zmianę sposobu wykładów. Zdaniem ich, nauka religii oraz języków rosyjskiego i polskiego powinna być obowiązkowa; religię katolicką powinni wykładać księża; należy koniecznie przygotować podręczniki, zastosowane do właściwości kraju, ponieważ obecnie używane, zastosowane są do potrzeb włościanina rosyjskiego i posługiwanie się nimi jest nader trudne dla dzieci, zaczynających się uczyć obcej mowy. Przedewszystkiem jednak komisarze nalegają na to, ażeby uczynić szkołę niezależną od zgromadzeń gminnych i wiejskich i ażeby zamiast składek dobrowolnych zaprowadzono stały, ogólny dla całej gubernii podatek na utrzymanie szkół.

Konieczność tego uznaje również komisya i kwestyę niniejszą łączy bezpośrednio z opracowanym przez siebie projektem zaprowadzenia ziemskiego podatku gubernialnego. Po jego zaprowadzeniu, jak powiada komisya, stanie się bezwarunkowo możliwem nietylko utrzymać wszystkie szkoły, istniejące na dotychczasowych etatach, ale nadto będzie można jednocześnie uposażyć należycie szkoły, nieposiadające teraz etatów normalnych. Potrzeby remontowe i budowlane szkół będą również prędzej i należyciej zaspokajane, a obmyślana przez dyrekcyę naukową sieć szkół elementarnych, w miarę wzrastania dochodu z podatku ziemskiego, zacznie się powoli urzeczywistniać. Możliwość istnienia na granicy z Europą zachodnią całych gmin, nieposiadających ani jednej szkoły, stałaby się wkrótce legendą.

Jest rzeczą oczywistą, że projekt komisyi celowi nie odpowiada, ale niezależnie od środków materyalnych i ich źródła, do prawidłowego rozwoju w kraju oświaty ludowej potrzeba jeszcze działaczów społecznych, którzy potrafiliby zjednać ludność dla szkoły i tak ją urządzić, ażeby pożytek z niej dla państwa i dla mieszkańców kraju był nie złudzeniem, lecz rzeczywistością. Potrzeba dobrze przygotowanych nauczycieli, których zadanie jest tutaj trudniejsze i bardziej skomplikowane, aniżeli w innych stronach państwa. Przysposobienie takich nauczycieli powinno również obciążyć dochody z zamierzonego podatku ziemskiego i powinno stać się przedmiotem szczególnej troskliwości wydziału naukowego.“

— Do urzędu powiatowego kieleckiego zgłosił się — jak donosi *Warsz. Dziennik* — strzelec 10-go wschodnio-syberyjskiego pułku, Laurenty Marcinkowski, mieszkaniec gminy Suchedniów, wypuszczony niedawno ze szpitala w Mukdenie, gdzie leczył się z rany, otrzymanej w wąwozie Sengalińskim w lewą rękę, ze zmiażdżeniem kości. Według jego opowiadania, Japończycy są narodem mało towarzyskim, posępni i niesympatyczni. Zdarzało mu się często obserwować, jak ranieni żołnierze, leżąc w szpitalach obok Japończyków, niejednokrotnie starali się wciągnąć ich do rozmowy, lecz Japończycy milczeli ponuro, prawdopodobnie dlatego, ażeby się z czemś niepotrzebnem nie wygadać i tylko zrzadka wydawali jakieś dźwięki niezrozumiałe, przyczem gdy który z nich nabierał chęci powiedzenia czegośkolwiek, to zaraz inni zaczynali mruczeć, zmuszając go do milczenia. W liczbie jeńców byli też Korejczycy, Chińczycy i Anglicy. Najokrotniejszą i najwstrętniejszą istotą jest Chunchuz; żołnierze rosyjscy zwali ich dyabłami: mają oni głowy szerokie, są muskularni, wyraz twarzy pełen złości zaciętej. O odwadze i wytrzymałości Japończyków Marcinkowski odzywał się z zachwytem, zdumiony ich niesłychanem męztwem.

KRONIKA.

Wiadomości społeczne. *Warsz. Dn.* donosi, że w miejscowościach pogranicznych zmniejszyło się wychodźtwo do Prus, a zwiększyło do Ameryki, zwłaszcza wśród młodzieży, podlegającej poborowi woj-[illegible]

— W [illegible] nia pomocy pozbawionym zajęcia robotnikom, który postawił sobie jako zadanie: 1) określenie rzeczywistej liczby robotników, pozbawionych zajęcia i potrzebujących pomocy, 2) określenie rozmiarów akcyi pomocniczej, 3) wyszukanie pracy i zajęcia i 4) wyszukanie środków, mogących ulżyć nędzy i zbieranie na ten cel dobrowolnych składek w całym kraju.

— W Łodzi rozpoczął działalność komitet zorganizowany w celu dostarczenia pracy robotnikom.

— Zarząd rolniczy w Mińsku zorganizował odczyty ludowe dla włościan o gospodarstwie mlecznem i hodowli inwentarza.

— Kobietom-lekarzom w państwie rosyjskiem przyznano prawo noszenia znaku, ustanowionego dla le-[illegible]

— W celu ograniczenia znacznego napływu podrzutków z prowincyi do domu wychowawczego przy szpitalu Dzieciątka Jezus w Warszawie, powstał projekt założenia takich instytucyj w każdej gubernii Królestwa Polskiego, fundusz na utrzymanie ma być ściągnięty drogą opodatkowania.

— *Hacefira* donosi, że centralny komitet Towarzystwa „Alliance Israélite“ w Paryżu przeznaczył 100,000 franków na cele dobroczynne dla współwyznawców w państwie rosyjskiem. Z sumy tej posłano do Łodzi 15,000, do Białegostoku 10,000, do Odesy 10,000, do Wilna 6,000, do Libawy 4,000 i do Dubrowny 3,000 fr., oraz na rzecz rodzin, które ucierpiały podczas rozruchów w Śmile, 5,000 franków, na imię senatora, hr. Bobrińskiego.

— W *Gaz. Polskiej* czytamy: Żydzi petersburscy wystąpili ze staraniami, aby prawo z d. 11 sierpnia o pozwoleniu Żydom, którzy służyli w armii czynnej w Mandżuryi, zamieszkiwania bez przeszkód w całem państwie, rozszerzone też zostało na rodziny żołnierzy, poległych na polu bitwy. Motywują oni swe wystąpienie tem, że Ukaz Najwyższy z dnia 11 sierpnia zrównywa całkowicie w prawach Żydów, przebywających w armii czynnej, z prawami żołnierzy żydowskich, którzy służyli za czasów panowania Cesarza Mikołaja I, ci zaś, zgodnie z art. 680 IX tomu przelewają prawa na rodziny swoje. Nadmienić wypada, że liczba żołnierzy Żydów, przebywających w armii mandżurskiej, dosięga 27,000.

— Trzy przedmieścia Poznania przemianowano na język niemiecki: Jeżyce na „Schwalbach“, Główne — „Hauptdorf“ i Winiary — „Weinberg.“

— Kolonia polska w Berlinie zamierza założyć „Dom polski“ dla zogniskowania w nim wszystkich stowarzyszeń. Projekt został wywołany zakazem zbierania się „Sokołów“ w szkolnych salach gimnastycznych.

— Sąd wojenny w Strasburgu rozpoznawał niedawno sprawę podoficera Warschaua za pastwienie się nad podkomendnymi mu żołnierzami. Bicie po twarzy, batożenie, kułaki były na porządku dziennym. Po za tem spotykały się w „repertuarze“ Warschaua „pomysły“ bardziej oryginalne. Gdy rekrut Grimm rozlał pewnego rodzaju olej, przeznaczony do czyszczenia karabinu, W. kazał mu *rozlany olej zlizać*. Ten sam rekrut musiał innym razem *wypić resztę brudnej wody*, pozostałej na miednicy. Inny żołnierz zmuszony był *wypić zawartość spluwaczki*. Innemu wreszcie W. kazał *wyjąć z wiadra głowę śledzia i zjeść ją*, a gdy biedny rekrut się wzdragał, W. wpakował mu ją gwałtem w usta i zmusił do połknięcia.

— Według obliczenia izby handlowej w Marsylii, nieporozumienia pomiędzy robotnikami morskimi a przedsiębiorcami kosztowały 150 milionów franków.

— Policya w Grabowie i Ostrzeszowie, w Poznańskiem, wezwała kilku kupców do zmiany imion polskich na znakach sklepowych, jako „niezgodnych z językiem urzędowym i handlowym.“

Szkoły i wychowanie. Opracowany został trojaki sposób obowiązkowego nauczania nieletnich robotników fabrycznych: 1) przez fundowanie samodzielnych szkół fabrycznych z programem specyalnie dla nich opracowanym; 2) przez posyłanie nieletnich robotników fabrycznych do najbliższych szkół miejskich lub wiejskich elementarnych; 3) w razach wyjątkowych, gdy warunki miejscowe nie pozwalają na coś lepszego, można będzie utrzymywać przy fabryce nauczyciela specyalnego, który ma zajmować się dziećmi, pracującemi w fabryce, w godzinach wolnych od innych zajęć, ucząc je conajmniej czytania i rachunków. Fundusz na utrzymanie szkół pofabrycznych dostarczy podatek nałożony na fabryki i zakłady przemysłowe. Podatek ma być obliczony względnie do liczby pracujących w fabryce robotników i wprowadzony stopniowo, najpierw w gub. wyróżniających się rodzajem przemysłu fabrycznego, a następnie w gub. Warszawskiej i Piotrkowskiej. Od podatku wolni będą fabrykanci, którzy ufundowali własnym kosztem szkoły czyniące zadość wymaganiom moralnym. Wysokość podatku zaprojektowano w sumie 1 rb. 55 kop. rocznie z każdego robotnika. Obowiązkowe uczęszczanie do szkoły ma być wprowadzone stopniowo, w miarę otwierania w danym okręgu lub miejscowości szkół niezbędnych.

— Ochrony dla dzieci żydowskich poddano nadzorowi władz naukowych.

— Saratowski zarząd ziemski stara się o zniesienie szkolnych kas oszczędności, jako nieodpowiadających celowi.

— Ministeryum oświaty zawiadomiło kuratora okręgu naukowego warszawskiego, że w razie, gdy nauczyciele nowo otwieranych szkół miejskich, nie będą mieli ustanowionej stałej liczby lekcyj, pensya powinna być im wydawana w całości, ponieważ pobierają oni wynagrodzenie miesięczne, a nie za lekcye.

Zdrowie publiczne. Dr. Robert Koch ustąpił ze stanowiska kierownika instytutu dla chorych infekcyjnych w Berlinie i ma wyjechać do kolonij niemieckich w Afryce w celu prowadzenia badań bakteryologicznych.

— W Rio Janeiro zachorowało na dżumę kilkadziesiąt osób. W Smyrnie stwierdzono też kilka zasłabnięć.

— W Stanach Zjednoczonych w roku zeszłym skutkiem wypadków kolejowych zginęło 9,840 osób, otrzymało rany 76,553.

Literatura i prasa. Zniesiono zakaz wydawania gazety *Woschod*.

— W Żurawnie, w Galicyi, utworzył się komitet w celu urządzenia jubileuszu setnej rocznicy urodzin Mikołaja Reja z Nagłowic, przypadającej w 1905 roku.

Ze sztuki. Salon Krywulta otworzył wystawę akwafort artystów angielskich i amerykańskich.

— Dnia 8 b. m. otworzono w Krakowie wystawę jubileuszową miejscowego Towarzystwa sztuk pięknych, przy licznym zjeździe artystów i miłośników sztuki.

— *Kur. Warsz.* donosi: W parku Humbolta w Chicago odsłoniono d. 11 września r. b., przy wielkim napływie publiczności, pomnik Tadeusza Kościuszki. Podczas uroczystości przemawiali: sędzia La Buy adwokat Jan Smulski i p. Stęczyński. Prezydent Roosevelt i kandydat na wiceprezydenta, senator Fairbanks, nadesłali listy.

Z muzyki. Na konkursie lutni nagrodzono dwa utwory na chór męzki: „Jaskółkę“ p. L. Tisseranta i „O, pieśni, płyń,“ p. H. Łopaskiej.

Sprawy ekonomiczne. Do ministeryum rolnictwa i dóbr państwa wniesiono podanie o utworzenie w kraju Północno-Zachodnim Towarzystwa kredytowego ziemskiego dla gubernij: Wileńskiej, Kowieńskiej, Grodzieńskiej, Mińskiej, Witebskiej i Mohylewskiej.

— *Warsz. Dn.* donosi: sprawa wprowadzenia dodatku od dochodów rozstrzygnięta ma być w ministeryum skarbu w ciągu zimy bieżącej. Przytem powstał projekt, ażeby po wprowadzeniu tego podatku przekazać niektórym miastom podatek mieszkaniowy, po odliczeniu pewnego procentu na rzecz skarbu, z warunkiem jednak, że wydatki, połączone ze ściąganiem podatku mieszkaniowego, wezmą miasta na swój rachunek.

— Z portu Seattle, w st. Waszyngton, wyruszył statek „Victoria“ z wystawą okazów produkcyi rolniczej i przemysłowej. Wystawa pływająca ma okrążyć Stany Zjednoczone, a następnie zawitać do Europy.

Pożary. Spaliło się prawie doszczętnie Nowe Miasto w pow. Płońskim. Straty obliczają na 300,000 rb. 2,500 mieszkańców pozostało bez dachu. Takiej samej klęsce uległo miasteczko Toporów w Galicyi.

Zmarli. Leon Paszkowski, prawnik ekonomista, we Lwowie.

— Prentiss Ingraham, w Bostonie, zwany fabrykantem romansów i powieści, których w przeciągu 31 lat napisał 707, a każdy obejmował około 60,000 wierszy.

— Józef Cassemans, malarz pejzażysta belgijski, w Brukseli.

— August Fryderyk Bertholdi, artysta-rzeźbiarz, w Paryżu.

— Lofcadio Hearn, znany pisarz angielski, zwany moralnym odkrywcą Japonii, o której napisał wiele dzieł gruntownych. Do końca życia był lektorem języka angielskiego w uniwersytecie w Tokio.

OGŁOSZENIA.

Redaktor i Wydawca A. Dembowski.

Дозволено Цензурою Варшава, 30 Сентября 1904 г.

Warszawa. Druk K. Kowalewskiego, Mazowiecka 8.